SOBOTA
Nr 24 24.II. 1979 cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

O teatrze szkolnym
O „Reducie" Osterwy
O młodzieży i szkole na wsi
O pisarstwie i aktorstwie

rozmawiamy z KLEMENTYNĄ SOŁONOWICZ-OLBRYCHSKĄ, autorką powieści i opowiadań dla młodzieży (str. 4–5).

Dziś w Wiedniu początek halowych ME

„KRÓLOWA" nie może być kopciuszkiem

Sezon letni dawno już stał się zbyt krótkim okresem dla lekkoatletyki. Nic więc dziwnego, że wzorem innych dyscyplin, na czas zimy, pod dach zawędrowała także „królowa sportów". Zaczęto skrupulatnie odnotowywać halowe rekordy (w wielu konkurencjach wcale nie gorsze od uzyskanych na otwartych stadionach), coraz częściej organizuje się przeróżne imprezy, aż do Mistrzostw Europy włącznie. Właśnie takie rozpoczynają się dziś w Wiedniu.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

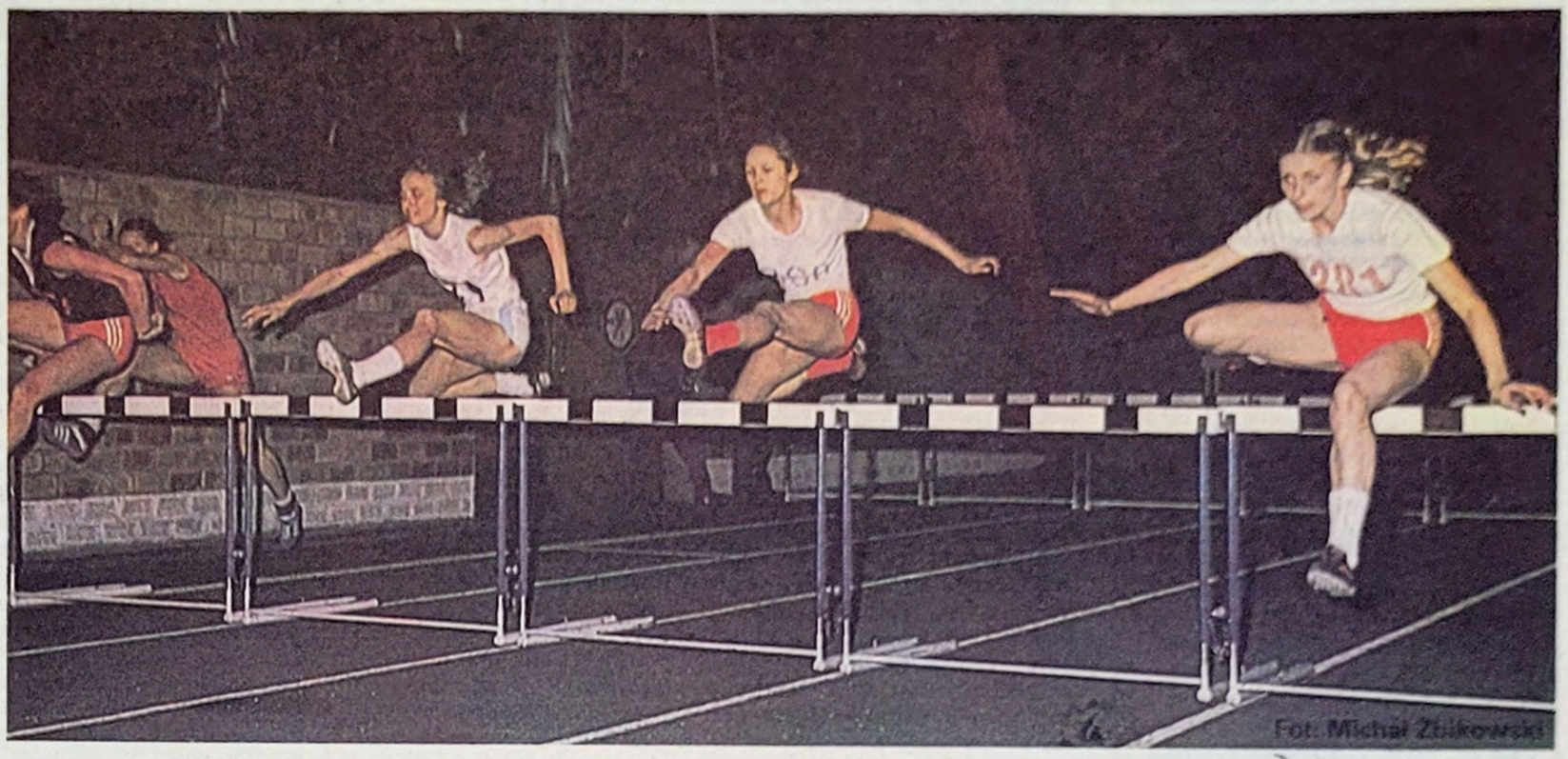

Fot. Michał Ziółkowski

CO PRAWDA OLIMPIADA W MOSKWIE DOPIERO ZA ROK
ale... rysować na
OLIMPIJSKI KONKURS
możesz już teraz!

TAK WIDZĘ ŚWIAT

Jak go widzisz? Opowiedz to rysunkiem jak możesz najpiękniej i najbarwniej. Nie zwlekaj, rozejrzyj się wokół siebie i rysuj! Może Twoja praca trafi na międzynarodową wystawę w salach moskiewskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obejrzą ją wtedy goście z całego świata, którzy przyjadą do Moskwy na XXII Olimpiadę Sportową.

Międzynarodowy konkurs ogłosiła redakcja gazety „Pionierska Prawda". Może wziąć w nim udział każdy, kto skończył 5, a nie zaczął jeszcze 17 lat. **Technika pracy i temat rysunku są dowolne,** trudno bowiem wyobrazić sobie hasło bardziej pojemne niż „WIDZĘ ŚWIAT". Rysujcie co dusza zapragnie; kredkami, ołówkami, węglem, farbami, tuszem. Można wysłać nawet **10 rysunków** pod adresem: **101502 Moskwa, K-30, ul. Suszczowskaja 21, „Pionierska Prawda"**. Pamiętajcie, na odwrocie pracy należy napisać następujące informacje: **imię i nazwisko, wiek i dokładny adres.** Rysunki należy nadsyłać do dnia **15 września 1979 r.**

Oceniać Wasze dzieła będzie międzynarodowe jury. Autorzy wyróżnionych, tzn. wybranych na wystawę prac otrzymają pamiątkowe dyplomy, znaczki i katalogi.

(eb)

Już wkrótce zacznie się nasz plebiscyt:

NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH

Będziecie po raz szósty wybierać **najlepszych zastępowych**. O tym komu przypadną medale: złoty, srebrne i brązowe zdecydujecie Wy sami. Już w następnym numerze omówimy wszystkie szczegóły dotyczące plebiscytu.

NAJMŁODSI PLASTYCY WSPÓŁPRACUJĄ Z CEPELIĄ

- **projektują zabawki**
- **swoje prace wystawiają na Targach Poznańskich**

NAŁĘCZÓW (HSI). W Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Nałęczowie odbyła się miła uroczystość związana z 30-leciem istnienia szkoły. Podczas uroczystości szkole nadano imię wybitnego malarza Józefa Chełmońskiego. PLSP otrzymało również sztandar ufundowany przez społeczeństwo miasta i zakład opiekuńczy – Spółdzielnię Pracy Artystyczny Przemysł Drzewny w Nałęczowie oraz Medal Komisji Edukacji Narodowej nadany przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania. Uczniowie liceum już od kilku lat współpracują z Cepelią i przemysłem artystycznym. Licealiści są projektantami m.in. zabawek, a ich prace eksponowane są na wystawach w Warszawie, Krakowie oraz na Krajowych i Międzynarodowych Targach Poznańskich. **(dz)**

- **Wspólne badania uczonych 11 krajów**
- **Rowerem wokół akceleratora**
- **Polski CAMAC – dziś na Ziemi, jutro w kosmosie?**
- **Ze Świerka do Dubnej coraz bliżej**

W KUŹNI NOWOCZESNEJ FIZYKI

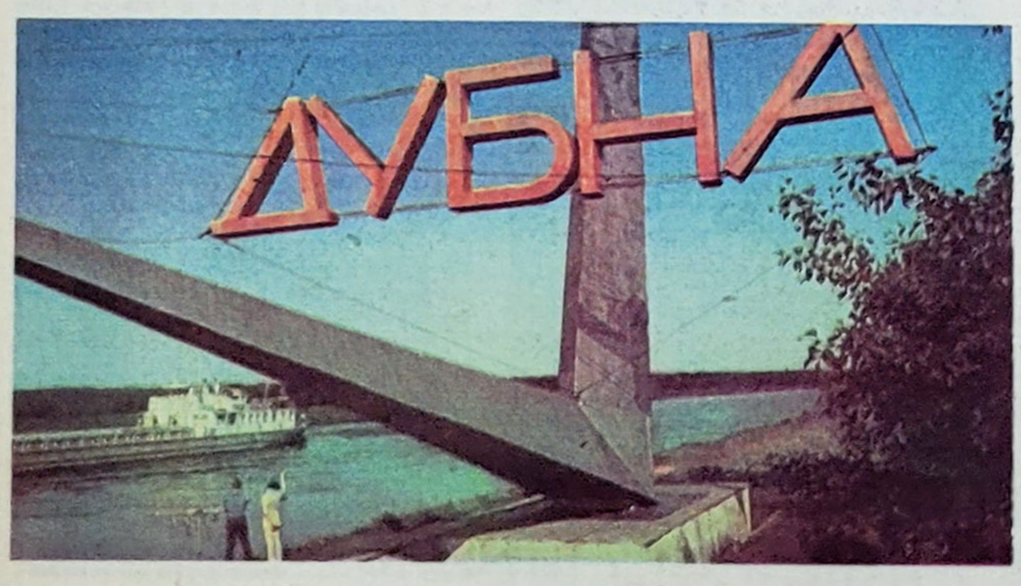

O Dubnej mówi się: „międzynarodowe miasto fizyków". Wielkie akceleratory, laboratoria, z których każde jest właściwie całym instytutem fizyki. A wokół nich – rozległe lasy nad Wołgą, w których Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych posiada swoje ośrodki wypoczynkowe. Jeden mieści się w... środku rzeki, na samotnej wyspie. O Dubnej – zwanej też „nadwołżańską Wieżą Babel" – piszemy na str. 2

Rejs polskiego „Mazurka" w księdze rekordów GUINNESSA

LONDYN (PAP). Rejs kpt. Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz, która jako pierwsza kobieta w świecie samotnie opłynęła glob ziemski na swym jachcie „Mazurek" znalazł uznanie u redaktorów popularnej księgi światowych rekordów Guinnessa, publikowanej w Wielkiej Brytanii i wydawanej w różnych wersjach w innych krajach. W tegorocznym wydaniu, w uaktualnionej rubryce morskich rekordów księga informuje: „Pierwsza kobieta samotnik – kpt. Krystyna Chojnowska-Liskiewicz, jacht „Mazurek", Polska, start – Las Palmas 28 marca 1976, końcowa data rejsu 21 marca 1978 r". Wyczyn polskiej żeglarki jest jednym z nielicznych polskich wyczynów sportowych odnotowanych w tej, wprawdzie osobliwej, ale niezmiernie popularnej na całym świecie księdze rekordów.

Warto też wiedzieć, że kapitan Krystyna Chojnowska-Liskiewicz została zwyciężczynią tradycyjnego plebiscytu czytelników „Wieczoru Wybrzeża" na „Gdańszczanina Roku".

(kż)

POLSKA - CZECHOSŁOWACJA

Współpraca na dziś i na jutro

Magnetofony, radioodbiorniki, maszyny do szycia, rowery „Mede in Poland" to artykuły, które cieszą się dobrą opinią na czechosłowackim rynku. Dobrą wizytówkę po sobie zostawili w CSRS nasi specjaliści budujący cukrownie, zamrażalnie, zakłady produkcji kwasu siarkowego. Z kolei polscy klienci poszukują w sklepach szkła, sprzętu gospodarstwa domowego, przyrządów kreślarskich wyprodukowanych przez naszych sąsiadów.

W 195 r. między naszymi krajami została podpisana pierwsza długoletnia umowa o wzajemnych dostawach towarów. Od tego czasu nasze obroty handlowe wzrosły dziecięciokrotnie, stale wzbogaca się ich asortyment. Jesteśmy dla Czechosłowacji podobnie jak Czechosłowacja dla nas – trzecim (po ZSRR i NRD) partnerem handlowym. Obydwa kraje szczególnie jednak sobie cenią współpracę w dziedzinie kooperacji i specjalizacji. Najważniejsze dotychczasowe przedsięwzięcia to realizacja umów o współpracy w dziedzinie wydobycia surowców i produkcji siarki z 1957 r., o rozwoju wydobycia węgla dla potrzeb energetycznych z 1958 r. i budowie kopalni oraz zakładów do przerobu miedzi w Polsce, a także o dostawach miedzi, półfabrykatów i wyrobów z miedzi do CSRS. Obecnie nasze przemysły realizują kilkadziesiąt tego typu umów i porozumień, że wymienimy współpracę w produkcji autobusów „Škoda" i „Jelcz", ciągników, wagonów kolejowych, maszyn rolniczych, sprzętu medycznego.

Niedawno w Warszawie odbyła się XVIII Sesja Polsko–Czechosłowackiego Komitetu Współpracy Gospodarczej i Naukowo-Technicznej, na której dokonano wszechstronnego przeglądu dotychczasowych działań i określono kierunki dalszej współpracy na dziś i na jutro, bo aż do 1990 r. Koordynując plany rozwoju społeczno-gospodarczego obu krajów na lata 1981–85 opracowano ponad 20 projektów nowych umów dotyczących wspólnej produkcji. Dotyczą one takich dziedzin jak elektronika, elektrotechnika, energetyka, urządzenia dla górnictwa, maszyny budowlane, drogowe i rolnicze. W zakresie tych ostatnich przygotowano projekt umowy o współpracy w produkcji ciężkich ciągników o mocy powyżej 80 KM. Dużo uwagi poświęcono usprawnieniu środków transportu a także wspólnym działaniom na rzecz ochrony środowiska.

Coraz ściślejsza współpraca, wspólne rozwiązywanie problemów gospodarczych, coraz bogatsza wymiana handlowa przyczyniają się do rozwoju obu krajów, a w konsekwencji do wzrostu stopy życiowej ich obywateli. (mj)

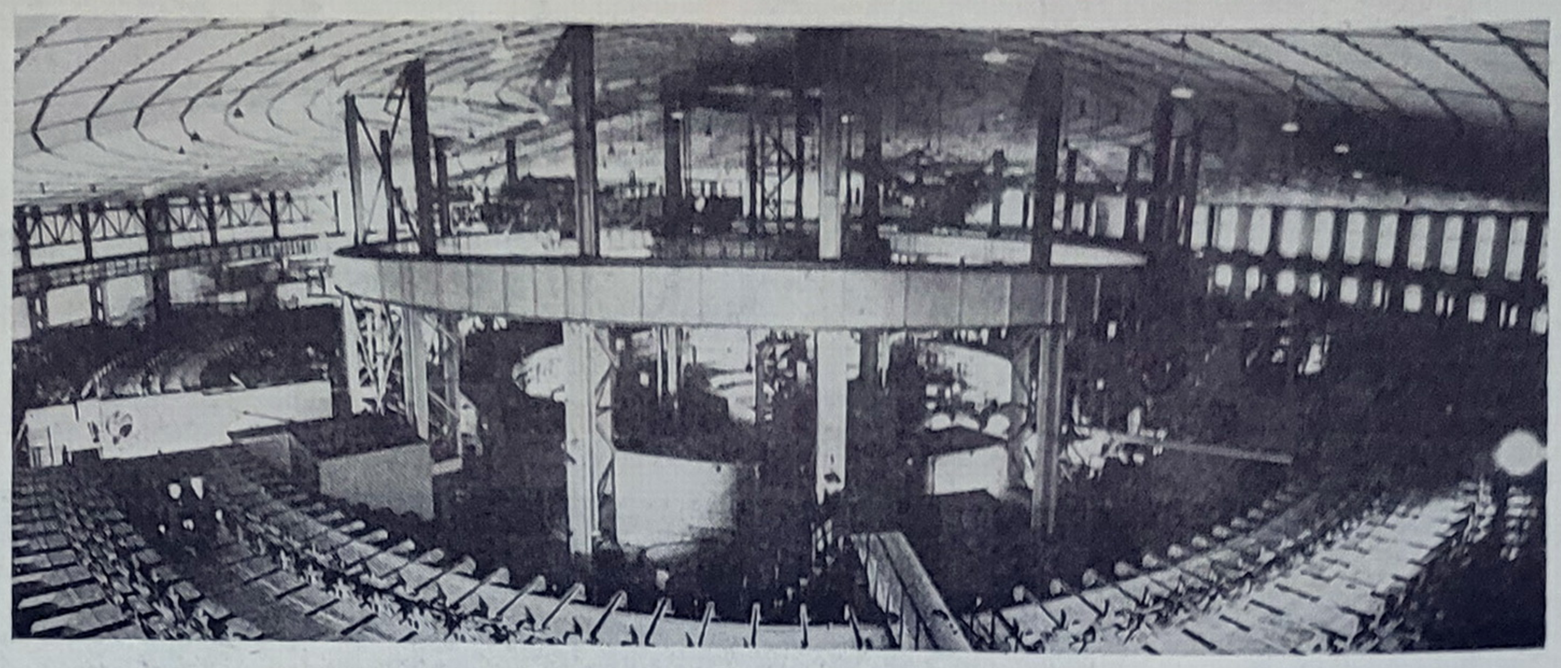

Synchrofazotron – jeden z najpotężniejszych akceleratorów Dubnej

W KUŹNI NOWOCZESNEJ FIZYKI

Niech sobie dmucha, niech wiatr usypuje zaspy, a mróz będzie i trzydziestoparostopniowy – pociąg elektryczny Moskwa–Dubna kursuje bez opóźnień. W samej Dubnej – tym „mieście fizyków", położonym ponad sto km na północ od stolicy ZSRR, wśród sosnowo-dębowych lasów – zima też niestraszna, wszystko jest tu bowiem do niej przystosowane. Miejscowa komunikacja paraliżowi zimowemu łatwo nie ulega, autobusy chodzą, zresztą mieszkający tu ludzie chętnie korzystają z nart. Chociaż najbardziej popularny jest – nie tylko latem, ale i zimą, inny środek lokomocji...

„Nieustający peleton rowerzystów (...) podąża ulicą prowadzącą do bramy wjazdowej Laboratorium Wysokich Energii (...). Parkingi zapełniają się powoli samochodami, którymi do pracy przyjeżdżają z reguły ci, którym niezbyt się spieszy, ponieważ, jak udowodniono eksperymentalnie, nie istnieje w Dubnej szybszy i sprawniejszy środek lokomocji niż rower..."

Tak wygląda początek zwykłego dnia pracy w „mieście fizyków" wg relacji „Rezonansu", pisma Instytutu Badań Jądrowych w Świerku – placówki, która bodaj najczęściej ze wszystkich naszych ośrodków naukowych z Dubną współpracuje. Współpraca – to zresztą nie najwłaściwsze słowo...

Jedenaście świąt narodowych

Jeden z pracowników IBJ, który był w Dubnej na początku lat sześćdziesiątych wspomina, że widywał tam jeszcze wiejskie chaty. Dziś na ich miejscu stoi nowoczesny hotel. A kilkanaście lat wcześniej Dubna była po prostu małą wsią. W 1949 r. Związek Radziecki uruchomił tu własny instytut badań jądrowych i wybudował wielki akcelerator. Zaś w 1956 r. powołano do życia placówkę, wówczas unikalną na świecie – **Zjednoczony Instytut Badań Jądrowych** państw socjalistycznych. Dodajmy – powołano przy udziale Polaków, bowiem w jego organizowaniu uczestniczyli nasi wybitni fizycy – profesorowie **Leopold Infeld i Andrzej Sołtan**.

Dziś, po niemal ćwierćwieczu, w pracach ZIBJ uczestniczy jedenaście krajów: Bułgaria, Czechosłowacja, KRL-D, Mongolia, NRD, Polska, Rumunia, Węgry, Wietnam, ZSRR i od niedawna – Kuba. Instytut utrzymywany jest ze składek tych państw, dając im w zamian to, na co same żadną miarą nie mogłyby się zdobyć.

Uczeni wymienionych krajów przyjeżdżają do Dubnej często na wieloletnie staże. Stale przebywa ich w ZIBJ około tysiąca, wielu zabiera ze sobą rodziny. Jest więc Dubna prawdziwym miastem międzynarodowym, w którym obchodzi się... święta narodowe wszystkich członkowskich krajów!

Cząstki na rozbiegu

Fizyka jądrowa korzysta z całego mnóstwa największych, najkosztowniejszych urządzeń. Do najważniejszych należą akceleratory – przyspieszacze cząstek elementarnych, w których uzyskują one wielkie energie, potrzebne np. do rozbicia jądra atomu. To właśnie są owe „młoty", którymi „wali się" w atom niczym w „drewnianą babkę" – by posłużyć się porównaniem z wywiadu udzielonego nam niedawno przez prof. Zakrzewskiego. Jeden z akceleratorów Dubnej – niegdyś największy w świecie – mieści się w wielkim okrągłym budynku. Okrążenie go, to spora wycieczka, na... rowerze.

Budowanie takich olbrzymów nie wynika z gigantomanii, lecz z praw fizyki i pewnych konieczności technicznych, które sprawiają, że dla uzyskania odpowiedniej energii cząstek musimy maksymalnie wydłużyć drogę ich „rozbiegu". Giganty takie posiadają dziś jednak tylko: ZSRR (m.in. w Sierpuchowie) i USA (m.in. w Batawii) – tylko te kraje na nie stać. Buduje się też mniejsze tego typu urządzenia i na nie stać dziś także Polskę, powstaje więc nasz własny akcelerator U 200, którego budowa odbywa się właśnie we współpracy z Dubną. Nie można bowiem uprawiać współczesnej fizyki jądrowej bez zespalania sił i wymiany myśli. Badania jądrowe nie zamykają się przecież w granicach państw czy nawet obozów.

Cel tych dużych ośrodków to...

Przede wszystkim – poznanie materii

Takie było ich zadanie, gdy powstawały. I nic się tu właściwie nie zmieniło, choć fizyka jądrowa coraz bardziej zaznacza swą obecność w praktycznych dziedzinach życia, budząc to przerażenie, to nadzieję. Nadzieja – to przede wszystkim energetyka jądrowa... Chodzi nam dziś o znalezienie takich źródeł energii, które nie ulegałyby szybkiemu wyczerpaniu. Wszakże zasobów uranu 235, gdyby je wszystkie użyto, starczyłoby na kilkadziesiąt zaledwie lat. Badania fizyki jądrowej zarysowują przed nami dużo dalsze perspektywy.

Jednak dziś wielkie ośrodki, takie jak Dubna, przynoszą praktyczne korzyści niejako po drodze do głównego celu, jakim jest lepsze poznanie budowy świata. Z nich też osiągnięcia fizyki jądrowej przenikają jakby bocznymi drogami np. do medycyny czy przemysłu. Ponadto – badania jądrowe wymagają nowych rozwiązań technicznych i nowoczesnych technologii, które potem zwykle bardzo się przydają w naszym życiu.

Przykładem niech będzie stworzony przez polskich elektroników i zastosowany w ZIBJ przy współpracy specjalistów ze Świerka – CAMAC – elektroniczny system sterowania komputerami Dubnej. Jego możliwości okazały się tak szerokie, że może znaleźć zastosowanie w wielkich zakładach o zautomatyzowanej produkcji, w medycynie czy wreszcie w badaniach kosmosu.

O tym, że wiele wyników rodem z Dubnej przydaje się w praktyce, niech świadczy fakt, że ok. 500 z nich zostało przez Państwowy Komitet d/s Wynalazków i Odkryć ZSRR uznanych za wynalazki. Do odkryć zaliczono kilkanaście. Jedno z nich oznaczone nr 173 dokonane zostało – wspólnie z fizykami radzieckimi – przez Polaków, doktorów **J. Wojtkowską i T. Kozłowskiego** z IBJ w Świerku.

Fizyka na odległość

W ZIBJ pracuje stale kilkudziesięciu naszych rodaków, ale liczne konferencje i spotkania sprawiają, że rocznie przewija się przez Dubną kilkaset osób z Polski. Wicedyrektorem Instytutu też jest obecnie Polak – **doc. Sowiński**. Nasi naukowcy cenią sobie fakt, że są tu odciążeni od szeregu zajęć administracyjnych, sprawozdawczych itp., które utrudniają im życie w krajowych instytutach. Tu są od tego specjalni fachowcy – naukowiec zajmuje się nauką.

O Dubnej mówi się i pisze, że jest szkołą i kuźnią kadr fizyków jądrowych w krajach RWPG. Dała początek wielu samodzielnym instytutom, jakie powstały na terenie tych państw. Tu zaczynało wielu wybitnych dziś fizyków. **Prof. R. Sosnowski**, o którego odkryciu niedawno pisaliśmy, część swego naukowego stażu odbył właśnie w Dubnej.

I jeszcze jedno: Zjednoczony Instytut zapewnia to, o co w dzisiejszej nauce coraz trudniej – dostęp do najświeższych informacji. Zwłaszcza, że Dubna współpracuje z najważniejszymi ośrodkami badań jądrowych na świecie. A że specjaliści z różnych krajów stale tu przyjeżdżają – przepływ informacji dokonuje się więc w drodze bezpośrednich kontaktów. Jeżdżą zresztą nie tylko ludzie – także aparatura, a zwłaszcza preparaty, które ZIBJ przesyła instytutom krajów członkowskich, nie mających sprzętu do ich sporządzenia. Można więc korzystać z urządzeń zainstalowanych w Dubnej nie przyjeżdżając do Dubnej – nazywa się to fizyką na odległość.

Odległość, która jakby się stawała coraz mniejsza...

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **CAF**

Artykuł napisany na podstawie rozmów z pracownikami IBJ w Świerku: mgr B. Wróblową – kierownikiem Działu Współpracy z Zagranicą i G. Trębicką – pracownikiem tego działu, doc. S. Kulińskim, mgr inż. M. Szymczakiem i Z. Lipczyńskim – redaktorem „Rezonansu" – oraz na podstawie tekstów zawartych m.in. w tym piśmie. (T.K.)

Człowiek nie komputer

Virgilio Gutierez, Alex Orbito, Tony Agpaoa czy Jose Mercardo de Bagag, to nazwiska ludzi znanych w całym świecie. Napisano o nich tysiące artykułów, dziesiątki książek. Prasa zachodnia zamieszcza często ich zdjęcia, publikuje najnowsze wiadomości o skandalach dziejących się wokół nich i cudownych uzdrowieniach, których dokonują bez użycia lekarstw.

Należą oni do najbardziej wziętych magów filipińskich. Twierdzą, iż potrafią dokonywać wszelkich operacji bez jakichkolwiek narzędzi chirurgicznych – gołymi rękami. Wielu świadków tych operacji gotowych jest przysiąc, iż widziało nawet wyjęte w czasie takich zabiegów chore tkanki pacjentów.

Opowieści o cudownych uleczeniach rozchodzą się lotem błyskawicy po całym świecie. Wierzący w cudotwórczą siłę magów z Manili, Pasig czy Malabon przytaczają tylko przykłady osób, które po wizycie poczuły się lepiej lub są przekonane, iż zostały uleczone. Inne przypadki pokrywa się dyskretnym milczeniem w myśl porzekadła: błędy lekarzy ziemia kryje...

Sława magów z Filipin rośnie, pacjentów przybywa i wyraźnie mało kogo obchodzi, co na temat takich praktyk mówi np. medycyna, nauka najbardziej chyba kompetentna w tej akurat sprawie. Nawet wyraźne oszustwa, jakich się dopuszczają owi cudotwórcy, o których tygodnik „Time" pisał, iż są to „kuglarze, którzy używają rąk, krwi i organów zwierzęcych do konstruowania swych cudów" – nie zmniejszają bynajmniej ich popularności. Naukowe badania wielu próbek rzekomo chorych organów wydobytych w czasie operacji – istotnie wykazały, że nie są to tkanki ludzkie...

Najsłynniejszy z magów, Tony Agpaoa, będąc dziesięć lat temu w USA, został oskarżony o oszustwo przez kilkuset mieszkańców Detroit. Po aresztowaniu zapłacił kaucję i wypuszczony z więzienia zwiał na Filipiny, gdzie nadal zażywa wielkiej sławy.

Jest coś zdumiewającego i tragicznego zarazem w tej ślepej na wszelkie wątpliwości wierze i adoracji, jaką otoczeni są na całym świecie różnego rodzaju uzdrowiciele czy pokątni sprzedawcy bezwartościowych na ogół mieszanek ziół. Niektórzy z nich – może nawet w większości – są najgłębiej przekonani o swym posłannictwie. Oni również wierzą, że potrafią bez żadnego przygotowania medycznego stawiać bezbłędne diagnozy i leczyć najcięższe nawet przypadki ze wszystkimi postaciami raka włącznie.

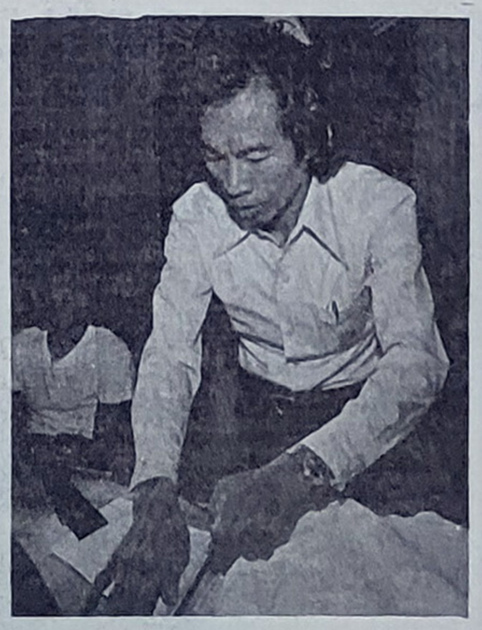

Jeden z magów filipińskich przy „pracy"

I oto bezbronni, cierpiący, schorowani ludzie oddają się z pełnym zaufaniem w ich ręce. Ci sami ludzie, którzy swe popsute zegarki odnoszą do zegarmistrzów, przy samochodach sami nie dłubią, aby czegoś nie popsuć i którzy oburzyliby się na propozycję, by naprawę telewizora powierzyć przedszkolakom!

Człowiek nie komputer i dłubać może w nim byle kto. Istotnie – dziwny jest ten świat...

JERZY DĄBROWSKI
Fot. **archiwum**

NAJŁATWIEJ JEST ODEJŚĆ OD ZAMKNIĘTYCH DRZWI...

Po części ,,oficjalnej" czyli informacji o tym jak stosować lekarstwa wizyta kończy się ,,oglądaniem albumów rodzinnych". Tak nazywają pielęgniarki rozmowy z samotnymi ludźmi dla, których są często jedyną życzliwą im ,,duszą"

Dzwonek. Jeden. Drugi. Głucha cisza za drzwiami. ,,Czy jest tam kto?" Ledwie słyszalny szmer i... ,,To ja, pielęgniarka..." Nie ma odpowiedzi.

– Nie, pani doktór. Wciąż nie mogę ,,sforsować" tego domku. Dobrze. U pacjenta z ,,krążeniem" zmienić dawkę. Aha, to te recepty dla pani...skiej. Dziękuję.

Elżbieta słucha uważnie poleceń lekarza.

– Przydałby się nowy sterylizator – mówi wsuwając do jego wnętrza strzykawki i igły. W torbie znika następna porcja pielęgniarskich akcesoriów.

– Piekielna torba – złości się dziewczyna. – Gdyby można było – sarka upychając, przestawiając, układając kilkanaście pudełek, buteleczek, paczuszek – zaprojektowałabym dla siebie i koleżanek lekkie torby z mnóstwem kieszonek mniejszych i większych przegródek.

– Elżbieta, byłaś dziś jeszcze u tego co to do brata na niedzielę się wybierał? – pytają koleżanki.

– Byłam, byłam. Kurs robienia zastrzyków zakończyłam.

– No to jeden codzienny marsz z głowy. Żeby tak wszyscy – kiwają głowami pielęgniarki.

– Chorzy na cukrzycę muszą codziennie, bez względu na wszystko, mieć wstrzykniętą insulinę – wyjaśnia Elżbieta, z którą zbiegam po schodach ośrodka zdrowia w Rembertowie.

– To znaczy – upewniam się – taki ,,insulinowy" pacjent uzależniony jest od możliwości i pory przyjścia pani?

– Tak – kiwa głową – i nie rozumiem do dziś, dlaczego tak kurczowo trzymają się tych wizyt rozbijających im porządek dnia. Tak rzadko udaje się namówić ich na ,,samokształcenie".

– Ale pani się udało!

– To nie moja zasługa. Pacjent, o którym mówimy postanowił wyjechać do brata na całą niedzielę. A kiedy zastrzyk? – spytałam – W niedzielę dyżuruję sama i nie wiem kiedy przyjdę – tłumaczyłam.

– To ja nigdy, nigdzie się ruszyć nie mogę – żalił się chory.

– Elżbieta, powstrzymując okrzyk triumfu z zapędzenia się pacjenta w ślepy zaułek, spokojnie tłumaczy, że i na niedzielę i na tydzień i nawet na miesiąc będzie mógł wyjeżdżać, ale...

– To ja chyba sam zacznę się kłuć – wreszcie niechętnie burknął pacjent.

– To w gruncie rzeczy drobiazg. Dla mnie ulga? Czy ja wiem? I tak koło jego domu przechodzę codziennie. To raczej ulga dla tego, kto wstanie kiedy chce, wyjdzie, wyjedzie, jest panem swego losu.

★ ★ ★

– Ciężko będzie dziś chodzić – mówi Elżbieta spoglądając na swoje modne botki. Wczoraj przemoczyła ,,te od pracy" To najgorszy czas. Śnieg i wertepy.

– Męczy mnie ten zamknięty na głucho dom – mówi moja towarzyszka. – Przychodzę już o różnych porach. Wiem, jestem nawet pewna, że za każdym razem lokatorka staruszka jest w mieszkaniu.

I dalej Elżbieta opowiada jak często zastanawia się czy ma prawo ponawiać próby ,,uszczęśliwienia" na siłę kogoś, kto wyraźnie tego nie pragnie. Na początku swojej pracy była skłonna rezygnować po pierwszej nieudanej próbie. Trochę wtedy lekarz nagadał. A starsze koleżanki przekonały, że zamknięte drzwi znaczyć mogą wołanie o pomoc. ,,Z samotności człowiek gorzknieje i traci wiarę we wszystko" – mówiły. ,,A ty jesteś od tego by tę wiarę przywrócić". – Dla pani pewnie brzmi to strasznie patetycznie. I mnie to trochę wówczas śmieszyło...

Mały domek, w budzie szczekający pies. Drzwi otwarte.

– Dziś, siostro, proszę o protekcję – żartuje zmęczony chorobą pacjent. Elżbieta błyskawicznie wykonuje zastrzyk. Informuje rzeczowo o tym co jeszcze zalecił lekarz. Na pożegnanie z uśmiechem ale stanowczo prosi pacjenta o to by próbował wstawać z łóżka. – Przecież całe życie nie będzie pan leżał? – mówi. Czy nie jestem zbyt okrutna – odpowiada na ogarniające mnie wątpliwości Elżbieta.

– Roztkliwiać się jest najłatwiej. I ludzie z taką przyjemnością i wdzięcznością słuchają słów współczucia. Tylko co z nich wynika?

Może to brzmi nieprzekonywająco, ale zajdziemy później do ,,mojej" babci, którą też swego czasu nie mogłam ,,wystukać". Staruszka, nie wstawała z łóżka. Nie otwierała nikomu. Tak było rok temu...

I znów drzwi, mała sionka. W małym pokoiku ciepło i przytulnie.

– Sąsiadka napaliła – mówi starsza pani.

– No i nie jest ona taka zła jak pani myślała – mówi pielęgniarka poprawiając poduszkę.

★ ★ ★

– Widzi pani chciałam właśnie mówić o tym, że z samotności ludzi my same nie wyleczymy.

Szukają więc pielęgniarki środowiskowe – bo tak nazywa się zawód, który wykonuje Elżbieta – pomocy w rodzinie, a jeśli jej nie ma – u sąsiadów.

Albo jak się to kiedyś zdarzyło mojej rozmówczyni wśród, jak to się mówi trudnego elementu. Kilku takich cwaniaków kolegów schodziło się w domu swego sparaliżowanego po wypadku kompana. Znaleźli sobie znakomitą przystań, gdzie w zimie było ciepło i czysto. Pielęgniarka zorganizowała opiekunkę z PCK i pomoc finansową dla chorego chłopaka. Toteż koledzy mieli istny raj. Niestety opiekunka nie wytrzymała. Nie wytrzymała docinków hałaśliwych, a nierzadko popijających wino młodych ludzi. ,,Albo ja albo oni". Denerwowała się.

– Dobrze by było gdybym i ja mogła postawić tak sprawę ale obowiązkiem moim jest zorganizowanie pomocy, opieki. Pacjent musi mieć dobre warunki. A jak to załatwię to już moja sprawa.

Nie mogła zdecydować się na odcięcie leżącego młodego człowieka od świata. Jedyną nitką łączącą byli jego koledzy. Opiekunka odeszła.

– A ja trzęsąc się ze strachu, przy pierwszej okazji wrzasnęłam na młodzieniaszków by mi pomogli prześcielić łóżko. I tak zaczęli pielęgnować swego chorego kolegę. Według opinii Elżbiety robili to znakomicie.

– Proszę tylko nie pisać – zastrzega się – o naszej odwadze, o nadprzyrodzonej mocy zmieniania czarnego w białe. Koledzy nie z dobroci, a z wygody pielęgnowali gospodarza ciepłego pokoju. A ja wcale nie byłam odważna wykazałam tylko zdolność kalkulacji. A, że przypadkowo dobrze wyliczyłam? Moje szczęście.

★ ★ ★

Szczęściem też nazwałaby pewnie znalezienie się w domu Zawadzkiego w momencie kiedy wcale nie musiała się tam znaleźć. To był straszny dzień. Mróz, wiatr i zaspy. Wszyscy pamiętamy początek tego roku.

– I ja pędziłam po pracy do mamy, do książki w ciepłym pokoju. Jakby na złość ciągle kołatał mi gdzieś tam Zawadzki. Wizytę miała zapisaną za dwa dni. Choroba układu krążenia. Dokuczliwa, ale pacjent miał wszystkie lekarstwa. A jednak zdecydowała się stracić jeszcze 20 minut i odwiedzić starszego, samotnego pana. To nie było 20 minut. Chory w ataku duszności nie miał nawet kogo poprosić o wezwanie lekarza.

– Proszę pani to znowu czysta kalkulacja. Ja muszę myśleć o pacjentach. Taki jest mój zawód. A ,,krążeniowcy" w taką pogodę... – machnęła ręką Elżbieta.

Po kilkugodzinnym marszu mimo późnej pory już i mimo czekającej na Elżbietę papierkowej roboty, której jak mówi nie znosi – wpadamy jeszcze do babci, którą Elżbieta nazywa ,,swoją". Ruchliwa starsza pani częstuje nas konfiturami własnej roboty. Elżbieta patrzy na mnie i triumfalnie się uśmiecha. Wracając do Ośrodka myślałam o tym, że jednak choć to ,,taki zawód" jak mówi pielęgniarka, wymaga on czegoś, czego ani ona, ani jej koleżanki na kursach czy w szkole nauczyć się nie mogą. Może to jest powołanie, może sposób myślenia. Może...

A może pielęgniarki, do których należy Elżbieta Szczepańska mają w sobie tę odrobinę chęci znalezienia drogi do ,,zamkniętych drzwi". Myślałam też o tym, że każdy z nas gdyby chciał mógłby tę drogę znaleźć. Rozejrzyjmy się więc dookoła siebie bo... samotność jest sprzeczna z naturą człowieka.

MILENA HAYKOWSKA
Fot. **M. Szymański**

> *,,Samotność jest sprzeczna z naturą człowieka i w ogóle wszystkich istot żywych"*
>
> **Antoni Kępiński**

Pracy papierkowej Elżbieta bardzo nie lubi. ,,Wolę kontakt z człowiekiem, a tych kart i arkuszy do wypełnienia jest chyba trochę za dużo"

CO DALEJ OŚMA KLASO?

Nasz telefon

Dziś przedstawiamy kolejną serię rozmów przeprowadzonych przez dyżurujących w każdy wtorek i czwartek specjalistów od zawodoznawstwa.

Tadek Rosiński z Poznania. *,,Chciałbym zostać pszczelarzem. Czy istnieją szkoły kształcące w tym zawodzie?"*

Technikum Pszczelarskie znajduje się w miejscowości Pszczela Wola (kolonia Krężnica Jara, woj. lubelskie). Ponieważ jest to jedyna tego typu szkoła w Polsce przyjmowani są ci najlepsi. Tak więc największe szanse mają uczniowie z ocenami wyłącznie dobrymi. O przyjęcie do Technikum Pszczelarskiego mogą ubiegać się również dziewczęta.

Zosia Skrzypek z Kalisza. *,,Marzę o pracy w cyrku. Jaką szkołę powinnam ukończyć?"*

W miejscowości Julinek pod Warszawą działa Państwowa Szkoła Cyrkowa. Przyjmowani są tutaj wyłącznie ci, którzy posiadają świadectwo maturalne. Ale to nie jedyny warunek. Przeprowadzany jest również surowy egzamin sprawności fizycznej. Kandydat na artystę cyrkowego musi wykazać się pewnymi zdolnościami muzycznymi, poczuciem rytmu, oraz nienagannym zdrowiem. Wszyscy, którzy marzą o pracy w cyrku muszą najpierw ukończyć szkołę średnią, która daje maturę.

Halina Kumas z Wolbromia. *,,Ja i moja koleżanka marzymy o zawodzie aktorki. Jaką mamy wybrać szkołę średnią?"*

Zawód aktorki to temat najczęściej powtarzający się w naszych telefonicznych rozmowach. Szczególnie dziewczęta marzą o karierze w filmie. Niełatwa to droga. Pierwszym krokiem jest ukończenie szkoły średniej i uzyskanie świadectwa maturalnego. Po jego zdobyciu kandydat może starać się o przyjęcie do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. (Znajdują się one w Warszawie, Łodzi i Krakowie). Egzamin jest konkursowy i przebiega w kilku etapach. Oprócz uzdolnień aktorskich trzeba wykazać się wiadomościami z dziedziny literatury, historii teatru i filmu, dobrą znajomością języka obcego. Tak więc podejmując w tej chwili decyzję trzeba przede wszystkim realnie ocenić własne możliwości.

Janusz Pędzik z Ostródy. *,,Chciałbym zdobyć jakieś informacje na temat zawodu mechanika osprzętu lotniczego?"*

Szkoła kształcąca w tym zawodzie znajduje się w Świdniku i jest jedynym Liceum Zawodowym tej specjalności w Polsce. W naszych najbliższych planach mamy reportaż z tej właśnie szkoły, mówiący o zawodzie mechanika osprzętu lotniczego.

Piotr Stasiak z Rydzewa. *,,Czy i w tym roku przewidziany jest konkurs pod hasłem ,,Kierunek – Budowa"? Cieszył się on w mojej szkole ogromnym powodzeniem."*

Konkurs ,,Kierunek – Budowa" zostanie ogłoszony w połowie marca. Wszystkich serdecznie zapraszamy do wzięcia udziału.

PRZYPOMINAMY: Telefon 214-706 (Warszawa) czynny jest w każdy wtorek i czwartek od godz. 14 do 17. (ach)

„Na wysokich wzgórzach ściętych ostro ku wodzie rysują się mury kościołów i budynków poklasztornych. Ich białe i szaroróżowe barwy rozjaśniają głęboką zieleń sadów okalających niskie, niebogate domki. Poplątane parowy – miejsce wiosennych wagarów i narciarskich zimowych radości – kryją pamięć minionych wieków, wydobywanych dzielnymi rękami młodego archeologa, Zygmunta Szmita, mieszkańca miasteczka i inicjatora naszej szkoły". **Tak opisuje Drohiczyn Klementyna Sołonowicz-Olbrychska, autorka słuchowisk radiowych, opowiadań i powieści o wsi, o ludziach wiejskich. Tu się urodziła, tu w pierwszych latach po wojnie pracowała jako nauczycielka. O miasteczku, jego mieszkańcach, o tutejszej młodzieży mówi z uczuciem, uznaniem, ciągle trwając pod urokiem stron rodzinnych.**

W kręgu wsi i teatru

– A jacy tu ludzie! Choćby wspomniany Zygmunt Szmit, samouk, wytrwałą pracą doszedł do wybitnych odkryć w dziedzinie archeologii, uwieńczonych publikacjami naukowymi. Prace tego młodego nauczyciela i późniejszego asystenta Muzeum Archeologicznego tłumaczono na obce języki. Umarł, mając zaledwie 27 lat, żegnany szumnymi mowami pogrzebowymi. Należał do tych „niezadowoleńców", którzy chcieli zmieniać swoje życie i świat. Takim był tu i rolnik Barszczewski, co wiersze za pługiem układał i rzeźbiarz świątków, skrzypek Antoni Śmiałowski i tylu innych. A młodzież tu wytrwała, uparta, co zacznie to dokończy. Po wojnie przychodzili z wiejskich szkół do naszego liceum w Drohiczynie z nieporadnością wysławiania się z gustami kształconymi przypadkowo, z nawykami trudnymi do zwalczenia, z zupełną obojętnością dla potrzeb nie tylko dbałości o piękno, ale także o ład, o porządek, o czystość... Ale tak w naszej szkole, jak i w każdej innej młodzież łaknie rzeczy, które wzbogacają świat jej doznań i przeżyć, zaspokajają często nieokreśloną tęsknotę, ukazują interesujące możliwości pracy twórczej.

– Uczyła więc Pani tę młodzież kochać teatr, stworzyła kółko dramatyczne, które potem przerodziło się w amatorską scenę – w teatr radości...

– Młodzież była bardzo zdolna. Jedną z dziewcząt, szczególnie utalentowaną, próbowałam namówić do egzaminu w szkole teatralnej. Nie udało mi się, sprzeciwiła się rodzina, włączył się również ksiądz, odradzając te studia ze względów moralnych. Wystawiliśmy „Niemców" Kruczkowskiego. Próby odbywały się u mnie w domu. Daniel miał wówczas 7 lat i koniecznie chciał brać udział w przedstawieniu. Uczniowie mówili: „Niech zagra Chaimka". Ale on chciał grać profesora Sonnenbrucha. Śpiewał też w chórze, ale mu było mało. Koniecznie chciał śpiewać solo. I śpiewał swój popisowy numer „Autobus czerwony..." Dziś mu to jeszcze w Drohiczynie przypominają. Nasze występy oglądało miasteczko i okoliczne wsie. W małym miasteczku i na wsi rodzice są bardziej związani ze szkołą. Wiele wówczas było trudnych problemów, także i zdrowotnych, była bieda, dzieci miały poważne zmartwienia. A w teatrze grały z radością, szyły stroje, robiły dekoracje – wszystko same, z pomysłem przy minimalnych środkach. Do dziś wspominają ten szkolny teatr. Pisali nawet o tym naszym teatrze w gazetach, Aleksander Król pisał we „Wsi". Ja też napisałam reportaż o naszej szkole na konkurs. Zatytułowałam go „Otwarte drzwi na oścież", w druku ukazał się pod tytułem: „Rzeczpospolita szkolna".

Świnia czy geografia

W pierwszej klasie przedwojennego gimnazjum w Kolnie nauczycielka zadała wypracowanie: „Jak spędziłem dzień po powrocie ze szkoły". Franuś Zanecki, chodzący do gimnazjum ze wsi, oddał zeszyt pierwszy. Opisał wszystko, co robił w domu – jak świniom gotował, jak wodę nosił, drzewo rąbał. Najwięcej było o świniach. Na końcu o geografii, że była bardzo trudna i nie nauczył się jej wcale. Tak jakoś zakończył nie bardzo uprzejmie. Nauczycielka wzięła później jego zeszyt i tak powiedziała:

– To najpierw się świniom daje, a później geografię robi?

Miejska była, nie wiedziała, co jest ważniejsze. Tak się wtedy rozłościła, że nie można było zrozumieć, o co jej chodzi.

Prosimy o wiadomości o K.K. Baczyńskim

Zdobywamy imię K.K. Baczyńskiego. Serdecznie prosimy o skontaktowanie się z nami drużyn o tym imieniu. Chętnie wymienimy informacje na temat poety-żołnierza. Bardzo nam też zależy na nawiązaniu kontaktu z rodziną K.K. Baczyńskiego lub z osobami, które go bezpośrednio znały.

37 Drużyna HSPS
Zespół Szkół Ogólnokształcących
ul. Niepodległości 16
74–100 Gryfino

Jak to jest z tą nieśmiałością?

Mariola martwi się o swoją koleżankę, że jest nieśmiała. Ja też byłam kiedyś taka, wstydziłam się, gdy miałam coś powiedzieć przy nieznanych mi osobach. Ta moja nieśmiałość skończyła się podczas ubiegłorocznych wakacji, znalazłam się bowiem w przymusowej sytuacji. Do mnie i do mojej koleżanki podjechali na rowerach dwaj przystojni chłopcy. Chcieli z nami porozmawiać. Moja przyjaciółka chichotała pod nosem, a ja, żeby ratować niezręczny moment od niechcenia zaczęłam się do nich odzywać. Dzięki temu zaprzyjaźniłam się z kapitalnym chłopakiem i przekonałam się, że pozbycie się nieśmiałości nie jest takie trudne. Teraz staram się być zawsze wesoła, zaczęto nawet mówić, że stałam się energiczna. W ogóle to lubię ludzi nieśmiałych i staram się im pomagać. Z doświadczenia wiem, że nadmiar śmiałości często przeszkadza w uzyskiwaniu życzliwości ze strony otoczenia. Swoją nieśmiałością nie należy się więc zbytnio przejmować.

Ala z Bielska-Białej

Informacja dla numizmatyków

Mam 15 lat. Jestem zapalonym numizmatykiem. Posiadam już dość pokaźne zbiory. Za pośrednictwem redakcji chciałbym się dowiedzieć czy w Polsce wychodzi jakieś czasopismo dla numizmatyków i jakie są możliwości jego prenumeraty oraz cena.

Wojtek

OD REDAKCJI: Miesięcznik pt. „Biuletyn Numizmatyczny" wydaje Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne, ul. Jezuicka 6, 00–281 Warszawa. Miesięcznik można otrzymać tylko poprzez prenumeratę. Jeszcze teraz można składać zamówienia na rok 1979, na następujące konto: NBP IV/OM Warszawa 1049–6549-132. Przyjmowana jest tylko roczna prenumerata. Cena – 155 zł. (bs)

UWAGA „Samolot" z Rabki – w sprawie lotni napisz do redakcji „Młodego Technika" 00-389 Warszawa, ul. Spasowskiego nr 4.

Jednocześnie przypominamy naszym czytelnikom, że żadnych anonimowych listów nie będziemy drukować w „Redakcyjnej Poczcie". (w m)

Dziś w Wiedniu początek halowych ME

„KRÓLOWA" nie może być kopciuszkiem

CIĄG DALSZY ZE STR.1

Do stolicy Austrii wysłaliśmy ekipę skromną liczebnie, ale, sądząc po nazwiskach, dość mocną: sprinter Marian Woronin osiągnął niedawno w biegu na dystansie 60 m czas 6,57 sek., co jest rekordem starego kontynentu; płotkarka Grażyna Rabsztyn, także na 60 m, jest posiadaczką najlepszego wyniku na świecie – 7,86 sek; tyczkarz Władysław Kozakiewicz – również doskonały i regularnie skaczący na granicy własnego rekordu Europy – 5,57 m... Ale do Wiednia nikt nie wysłał słabeuszów. Jak zawsze będą groźni lekkoatleci ZSRR. Przecież już podczas pucharowych zawodów Kraju Rad (odbyły się trzy tygodnie temu) Wiera Komisowa uzyskała czas tylko o 0,03 sek. gorszy od rezultatu Grażyny Rabsztyn, Gennadij Biełkow skoczył wzwyż 2,28 m, a trójskoczek Jak Undmae uzyskał najlepszy w obecnym sezonie wynik na świecie – 16,82 m. Agencyjne informacje donosiły również o świetnych występach zawodników RFN, Czechosłowacji, Włoch, Anglii, Bułgarii... Nie ma co ukrywać, w Wiedniu będzie gorąco.

Nie będziemy jednak snuć prognoz odnośnie naszych medalowych szans. Jednak jest w polskiej „zimowej" lekkoatletyce coś, co budzi niepokój. Jeśli porównać rezultaty, które osiągnęli aktualni mistrzowie kraju do analogicznych wyników mistrzów roku ubiegłego, łatwo można zauważyć, że te ostatnie są znacznie słabsze. Tylko w rywalizacji mężczyzn aż w ośmiu konkurencjach osiągnięto przed rokiem rezultaty lepsze. Aby rzecz wyjaśnić do końca dodajmy, że zawody odbywały się w tym samym obiekcie. Jednak nie ten fakt jest powodem niepokoju kibiców. Już od dawna mówiło się, że bieżący sezon będzie nie tylko krótszy, ale i mniej intensywny. Takie są zresztą szkoleniowe założenia trenerów.

W takim obiekcie mistrzostwa odbywają się zwykle przy drzwiach zamkniętych

Fot. **Michał Żbikowski**

Kibice mają żal o to, że w okresie zimowym niezmiernie rzadko mogą oglądać naszych czołowych lekkoatletów. A przecież wiadomo, że lekkoatletyka w hali posiada niepowtarzalny urok, potrafi też zafascynować widzów. Dzieje się tak dlatego, że kibic siedzi bardzo blisko walczących zawodników, widzi ich twarze, drgania mięśni, ich radość i smutek. Tego nie da się dojrzeć z koron i rozległych trybun otwartego stadionu.

Moda na halową „królową sportów" rozprzestrzenia się szybko. Jakoś zapomnieliśmy, że my byliśmy jej prekursorami, przecież już na początku lat trzydziestych PZLA organizował mistrzostwa kraju w przemyskiej... ujeżdżalni koni. Jeszcze wcześniej udane halowe tournée odbywał po USA znany polski biegacz Stanisław Petkiewicz. Zwyciężył w Bostonie w nowojorskiej Madison Garden, w Chicago... Pod dachem lubił startować także Janusz Kusociński. Mieliśmy więc i mamy sporo do powiedzenia w halowej lekkoatletyce. Cóż z tego, skoro krajowe zawody odbywają się w pomieszczeniach pozbawionych miejsc dla widzów, na treningowym gigancie Górnika Zabrze lub w hali warszawskiej AWF. W tej ostatniej tyczkarze pokonując poprzeczkę ocierają plecami o... sufit.

Nie bez powodu wskazujemy na te fakty. Lekkoatletyka nie może być kopciuszkiem, trzeba ją ludziom pokazać. Mamy w kraju supernowoczesną halę w Katowicach. Cztery lata wstecz odbyły się w niej Mistrzostwa Europy. Specjalnie na tę okazję zakupiono w USA tartanowy dywan, ułożono bieżnię z podniesionymi wirażami, zamontowano pomiarową aparaturę. W katowickim „Spodku" rozegrano tylko ME i MP. I na tym zakończono. Bardzo drogi tartan służy wyłącznie tenisistom. Szkoda...

Próbowano też kiedyś łączyć lekkoatletykę, a właściwie skok o tyczce z muzykę i piosenką. Było to coś nowego (wzór czechosłowacki), pełne jeszcze błędów natury organizacyjnej, ale trzeba powiedzieć, że impreza wywołała ogromne zainteresowanie. Rekord Polski (Buciarski – 5,45 m) i nieźle dobrana część artystyczna zadowoliły wszystkich. Niestety, skończyło się na jednym programie.

Nie jesteśmy za tym, aby z czcigodnej dyscypliny, robić cyrk, ale uważamy, że należy wykorzystać wszelkie formy przybliżenia jej do widza. Bo co to za sport bez kibiców, bez barw, bez chóralnych pieśni. Warto o tym przypomnieć w dniu otwarcia halowych Mistrzostw Europy. **(zp)**

– Co ważniejsze – krzyczała – świnia czy geografia!?

Wszyscy wołali:

– Geografia!

A Franuś jeden:

– Świnia!

– Cicho – krzyknęła pani – Zanecki odpowie sam. Co ważniejsze – świnia czy geografia?

– Jak Bozię kocham– krzyknął Franuś – świnia jest ważniejsza!

Wszystkim w klasie się wtedy dostało."

Taki jest początek reportażu pani Olbrychskiej wydrukowanego we „Wsi" w 1950 roku. Zadałam sobie trud sięgnięcia do starych roczników pisma, aby go odnaleźć. Byłam ciekawa, jak autorka „Majówki" dochodziła do wiedzy o wsi, o jej mieszkańcach, do tego co sprawiło, że w jej książkach wieś jest nie malowana a ludzie prawdziwi. Jak się później okazało w rozmowie z autorką, scenka ta jest reminiscencją lektury tygodniowych dzienniczków dzieci wiejskich z całej Polski, zebranych przez prof. Józefa Chałasińskiego. Znajdowały się one w rękopisach w Instytucie Kultury Wsi i autorka reportażu czytała je w 1939 roku. W reportażu wprawdzie pisała o powojennej wsi, o jej awansie, o awansie młodzieży wiejskiej i o swojej pracy nauczycielskiej z dziećmi wsi podlaskiej, ale przypomnienie tej scenki podkreślało odrębność sytuacji dziecka wiejskiego.

– Ostatnia Pani powieść pt. „Majówka" nagrodzona w ubiegłym roku Harcerską Nagrodą Literacką mówi o starym wiejskim człowieku, podobnie jak i „Cierpki smak tarniny"...

– I opowiadanie pt. „Buty", i czytane w radiu przez Zofię Mrozowską opowiadanie „Gdy drzewo usycha". Patrzyłam na sytuacje starych ludzi na wsi. Byłam świadkiem różnych scen. Pamiętam przeżycie jednej dziewczynki. Dziadek jej bardzo chory leżał na wyrku w kuchni, a jak miał przyjść ksiądz, to przenieśli go na paradne łóżko do pokoju, a potem, gdy ksiądz wyszedł, z powrotem na wyrko do kuchni. Dziewczynka się wówczas rozpłakała.

Aktorstwo czy dziennikarstwo

– Nie byłam zdecydowana, kim będę dziennikarką czy aktorką. Chciałoby się i to, i to. Do szkoły teatralnej zdałam egzamin. Rektorem był wówczas wielki Aleksander Zelwerowicz. Jednocześnie zapisałam się na studia do Wyższej Szkoły Dziennikarskiej. Chodziłam na wykłady do obu tych uczelni w ciągłej rozterce przy czym zostać na stałe. Wreszcie nie mogłam już pogodzić zajęć i zdecydowałam się porzucić studia teatralne. Czekała mnie rozmowa z rektorem. Zelwerowicz jednak nigdy nie miał dla mnie czasu i kiedy tylko udało mi się wykrztusić: „Panie rektorze ja chciałabym z panem..." – nie dawał mi dokończyć, powtarzając: „Ale ja nie mam czasu". Nie było rady. Poszłam za kulisy do Teatru Polskiego i wreszcie dostałam za swoje. Rektor mnie skrzyczał, że sama nie wiem czego chcę, że zajęłam miejsce komuś równie zdolnemu, ale i zdecydowanemu. Trzeba wiedzieć czego się chce – powiedział – bez pasji i uporu nie ma aktora.

Z teatrem trudno mi było zerwać ostatecznie. Pisałam o teatrze. W pracy dziennikarskiej miałam okazję zetknąć się z Juliuszem Osterwą i jego „Redutą". Pracowałam w redakcji „Czasu" i tam napisałam reportaż pt. „Reduta pracuje", a chcąc się uczyć od Osterwy, śledziłam pracę „Reduty". Osterwa wniósł w życie artystyczne Polski nową koncepcję, nowy styl, nowe metody pracy, a zorganizowany przez niego teatr „Reduta" urzeczywistniał jego idee. Zasługą tego teatru były objazdy prowincji, głównie miasteczek kresowych, które dzięki temu poznały dobry polski repertuar w doskonałym wykonaniu. Osterwa nie chciał, by aktora nazbyt wspierały elementy teatralne, by mu pomagały uboczne sztuczki i akcesoria. Pragnął, by przemawiała sama sztuka. Odrzucał np. świadomie niezwykłość dekoracji w redutowym teatrze dla dzieci. Nie chciał, by dzieci olśnione czarodziejskim zjawiskiem ukazanym na scenie, ominęły myśl bajki. Rozmaite formy kształcenia widza należały również do zadań tego teatru. Prelekcje, otwarte pokazy fragmentów pracy teatralnej. Jak mi się to wszystko potem przydało w szkolnym teatrze...

– Spłaciła więc Pani swój „dług" wobec teatru...

– Ta przykra rozmowa z rektorem nie dawała mi spokoju. Zelwerowicza spotkałam tuż po wojnie. Mówiłam, że piszę o teatrze, niestety, nie mogłam jeszcze wówczas powiedzieć, że w pracy na scenie wyręczył mnie mój syn, Daniel.

– Wracając do Pani pisarstwa, pisze Pani nową powieść dla Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, o czym będzie ta powieść?

– O młodzieży z klasy przedmaturalnej a właściwie o dziewczynie, która wcześniej niż maturę zdawała egzamin dojrzałości w życiu.

Rozmawiała BARBARA TYLICKA

Wokół Wielkiej Rafy Koralowej

POGROMCA TAIPANÓW

Berkeley ma dość dużo roboty na Wyspie Niedzieli, swojej ulubionej „wyspie taipanów". Ma on farmę w okolicach Cairns, gdzie prowadzi hodowlę jadowitych węży taipanów, które co dwa tygodnie „doi" z jadu. Potrzebny on jest do produkcji surowicy przeciwko ukąszeniom. Co jakiś czas wypływa na „Songton" lub innym szkunerze, by na różnych wyspach zdobywać dla swojej hodowli nowe egzemplarze żywych węży, gdyż w niewoli przestają się one rozmnażać.

Węże leżą w związanych workach za cienką przegrodą obok naszej kajuty, ale Berkeley zaręcza, że żaden z nich nie wpadnie na pomysł, by się wydostać i wypełznąć do nas przez jakąś szparę w przegrodzie.

– Skąd ta pewność?

– Gdy taipan znajdzie się poza gąszczem lub wysoką trawą, leży nieruchomo, by móc obronić się przed nagłym atakiem. Ależ naprawdę jest tak jak mówię – Berkeley zapewnia mnie z lekka urażony – najlepiej zejdź ze mną na Wyspę Niedzieli i sam zobacz jak łapię taipany.

I pewnego popołudnia decydujemy się z Canai zejść na ląd i odszukać Berkeleya. Na polanie zarośniętej wysoką trawą zrobił on koło o mniej więcej cztrometrowej średnicy, zniszczył trawę, a resztę roślinności przedeptał. Wygląda to jak maleńki strzyżony trawnik. W worku leżącym nie opodal w cieniu są już cztery taipany.

– Wyspa Niedzieli jest wspaniałą wyspą węży – powiada – są tu setki taipanów. Istny raj dla łowcy!

– Taipany to jedne z najbardziej jadowitych i niebezpiecznych węży. Jeśli ukąszony przez nie człowiek nie dostanie natychmiast zastrzyku, umiera w ciągu kilku minut. Jak dotąd medycyna nie miała dostatecznie skutecznego antidotum na tę truciznę, po prostu dlatego, że nie dysponowała wystarczającą ilością jadu, z którego można go wyprodukować. Australijski Instytut Serologiczny w Melbourne daje od czasu do czasu ogłoszenie, że poszukuje ludzi, którzy podjęliby się łapania taipanów i zbierania ich jadu, który instytut wykorzystałby do produkcji surowic. Zrozumiałe, że niewielu jest amatorów takiej pracy.

Dziś produkuje się już surowicę przeciw jadowi, gdyż oprócz mnie jest jeszcze trzech czy czterech ludzi, którzy łapią taipany, żeby po prostu zarobić na chleb. Za każdy gram wysuszonego jadu dostaję sto dwadzieścia funtów australijskich, ale na taki jeden gram muszę z pięć razy zbierać jad. Jednego węża można podrażnić, by wypuścił jad, nie częściej niż co dwa tygodnie. Na mojej farmie w Cairns mam ich obecnie osiemnaście, o ile wiem, jest to największa hodowla na świecie.

– Jaką moc ma jad taipanów?

– Ilość, która wydobywa się w czasie jednego ukąszenia wystarczy, by zabić dwieście owiec, jadem kobry natomiast zatruć można tylko trzydzieści cztery, możesz więc sobie wyobrazić, jak niebezpieczny jest taipan.

Berkeley przygotowuje swój sprzęt. Jego długi łowiecki kij ma na samym końcu umocowaną pętlę z cienkiego stalowego drutu, od której prowadzi wzdłuż kija, aż do uchwytu, proste urządzenie ze sznurka. Gdy sznurek ten się odpowiednio pociągnie, zaciska się stalowa pętla. Poza tym Berkeley ma tylko długi nóż. Przez krótką chwilę pada spokojny cichy deszcz. Berkeley podnosi głowę i spogląda na chmury.

– Teraz nie będzie to już długo trwało. Wąż zaraz wypełznie. Taipany lubią wygrzewać się na słońcu, zwłaszcza po deszczu. Tamte cztery złapano, gdy słońce na kilka sekund pokazywało się między chmurami... Tak samo będzie teraz.

– Czy on nie słyszy, że rozmawiamy?

– Węże są głuche. Nie wolno tylko zanadto się poruszać – to może go spłoszyć.

Berkeley idzie wolno w kierunku gąszczu, a wszystko potem odbywa się tak szybko, że trudno mi jest śledzić co się dzieje. Berkeley wskakuje w trawę uderzając kijem i w tej samej chwili na łączce ukazuje się prawie metrowej długości taipan, który zygzakiem sunie prosto na mnie. Podrywam się na nogi i jednym skokiem cofam się o kilka metrów. Berkeley tymczasem kijem zmusza węża, by zatrzymał się na środku przydeptanego trawnika, a ten, choć ma dość ograniczoną możność poruszania się, nie ma najmniejszego zamiaru położyć się spokojnie, jak opisywał to Berkeley. Stara się on głowę węża złapać w pętlę, ale nie jest to takie łatwe. Taipan i łowca podskakują na przydeptanej trawie w niesamowitym tańcu. Gdy wąż chce uciec z tej areny, zatrzymuje go kij Berkeleya; taipan odwraca się wtedy gwałtownie i syczy. Berkeley odskakuje w bok i znów mierzy pętlą w głowę swej ofiary. Manewr ten powtarza się z dziesięć razy, aż wreszcie taipan wpada w stalowy drut, który łowca silnie zaciska, ale nie aż tak, by węża udusić. Teraz widzę jego szeroko otwartą paszczę i odsłonięte zęby z jadem.

– Worek... szybko! Nie! Nie ten z wężami... ten mały Iniany!

Trzymam worek w wyciągniętych rękach, ale sam odsuwam się od tego potwora tak daleko jak tylko mogę. Niebezpieczeństwo mi już nie grozi, bo Berkeley trzyma pewnie swoją zdobycz obejmując jego kark prawą ręką, a głowę zaciska kciukiem i palcem wskazującym mocno jak kleszczami.

Trzyma w ręku worek i mówi nam, że wąż musi mieć czas na to, aby „ostygnąć". Obydwaj z Cenai siadamy obok niego na trawie, on tymczasem pali papierosa. Gdy go skończył, uważa widocznie, że już nadszedł właściwy moment, bo znów zwraca się do nas.

– Cenai, przynieś z mojej teczki ten mały słoik z przykrywką z pergaminu, a ty, Arne, przysuń się bliżej, to zobaczysz, w jaki sposób będę to robił.

Przesuwa rękę po Inianym worku szukając głowy węża.

– Dlaczego nie włożysz rękawiczki, przecież może cię zaciąć przez płótno worka!

– Nie. Wąż wbija zęby tylko wtedy, gdy widzi swoją ofiarę.

W końcu Berkeley wyłuskuje węża z worka. Trzymając jego głowę jedną ręką, a mały słoiczek drugą, przyciska jadowite zęby do pergaminowej przykrywki. W zwierzę wstępuje nowe życie; porusza lekko głową i nagle błyskawicznym ruchem przebija pergamin. Śmiertelna trucizna, podobna do mleka, ciężkimi kroplami kapie na dno naczynia. Berkeley wzmacnia teraz uchwyt na karku taipana. Robi to z pewną ostrożnością, gdyż pod zębami węża może być jeszcze dużo jadu.

W powrotnej drodze do szkunera Berkeley opowiada mi o szczepionce.

Wysyła płynny jad do laboratorium w Cairns. Tam suszą go i w postaci kryształków dostarczają potem do Instytutu Serologicznego w Melbourne. Tam wstrzykuje się go koniom w coraz mocniejszych dawkach, aby z wolna uodporniły się na działanie trucizny. Gdy osiągną już właściwe stadium, z ich krwi wytwarza się surowicę. Przez kilka lat uratowała ona w Australii życie setkom ludzi.

– Skąd ci przyszło do głowy, żeby zostać łowcą węży i zbieraczem jadu?

– Spędziłem dzieciństwo na półwyspie Jork. Jest tam wielka puszcza, a jedyni jej mieszkańcy to garstka hodowców bydła i równie nieliczna grupa łowców krokodyli. Wokół stacji misyjnych żyją tysiące tubylców, których potocznie nazywa się „abos" (aborigines). Polują używając jeszcze bumerangów i długich strzał wypuszczonych z procy, nigdy nie chybiając celu. Ale nade wszystko są oni niezwykłymi łowcami taipanów, gdyż mięso tych węży i żółwie stanowią ich największy przysmak. Oni właśnie nauczyli mnie polować na taipany i odnajdywać miejsca ich kryjówek. Łapanie ich stało się moją ulubioną rozrywką, a od czterech lat jest również pracą zarobkową. Zajęcie to ma i tą dobrą stronę, że nie ma wielu chętnych do kłusowania na moich terenach.

ARNE FALK-RONE

Rys. **S. Pawel**

(Jest to fragment książki Arne Falk-Ronne pt. „Raj na Tahiti", która wkrótce ukaże się nakładem wydawnictwa „Iskry")

5 MINUT Z ANKĄ

Jeśli ktoś ma przyjemność bliższego obcowania z Agnieszką, trudno jest mu się nudzić. Aga bowiem jest wulkanem przeróżnych pomysłów. Najczęściej są one z gruntu dziwaczne, co jej bynajmniej nie przeszkadza w przystępowaniu do natychmiastowej ich realizacji. Że do końca ich nigdy nie zrealizowała, to – inna sprawa. Są tego dwa powody. Po pierwsze – bardzo szybko przychodzi jej do głowy jakiś nowy pomysł, więc ten pierwszy automatycznie usuwa się w cień, a po drugie – ich dziwaczność praktycznie wyklucza sensowne ich zrealizowanie do końca. W każdym razie wszyscy, co znają Agę, mają z nią uciechy co niemiara. No, może tylko jej domownicy tej uciechy mają mniej!

Kiedyś, ze dwa lata temu, wymyśliła, że... zajmie się tresurą kotów. Bo są tresowane foki, tresowane słonie, tresowane psy, a kotów nie ma. Już ona koty nauczy – służyć, tańczyć na dwóch łapkach, grać w piłkę nosami, liczyć do dwudziestu... Na pomysł ten wpadła, powiedzmy, w poniedziałek, a we wtorek po południu w ich domu było już kilka kotów i kociaków. I... okropna awantura, bo kto zgodzi się, aby zamieszkać na stałe z taką masą tych skądinąd bardzo milutkich zwierząt!? Kiedy indziej postanowiła zrobić sobie (własnoręcznie!) perukę, więc wzięła do ręki nożyczki i obcięła swoje bardzo piękne długie włosy. No bo z czegoś tę perukę trzeba zrobić. Jeszcze kiedy indziej przejęła się wskazówką zamieszczoną w jakimś czasopiśmie, że najmodniejszy jest kolor czarny i... przystąpiła do farbowania na czarno wszystkich swoich ciuchów. Chciała zostać alpinistką i w ramach treningu wdrapała się na jakiś dach, skąd ściągała ją straż pożarna, bo już samodzielnie zejść nie dała rady; wyruszyła na wyprawę autostopem nie zdążywszy poinformować o tym swych rodziciel; sto tysięcy razy (z powodu eksperymentów) przepalała w swym domu instalację elektryczną...

Tak w ogóle, to wcale nie jest kopnięta – jak się może i niektórym wydaje: wspaniale się uczy, masę różnych rzeczy wie, tylko... te pomysły! Ostatni z nich, to postanowienie, że zostanie aktorką, a właściwie śpiewaczką operową. Wielką i słynną. Jego realizacja polega na tym, że gdy wraca ze szkoły, to zjada trzy albo cztery surowe jajka, staje pod oknem i wydaje z siebie dźwięk: aaaaaaaaaa...

Wiem to od jej mamy, która przyszła odwiedzić moją (nasze mamy chodziły razem do szkoły). Była... załamana. Tak jakby nie wiedziała, że Adze to za parę dni minie. Swoją drogą, mnie nigdy nic takiego nie przychodzi do głowy. Czyżbym była ociężała umysłowo?!...

ANKA

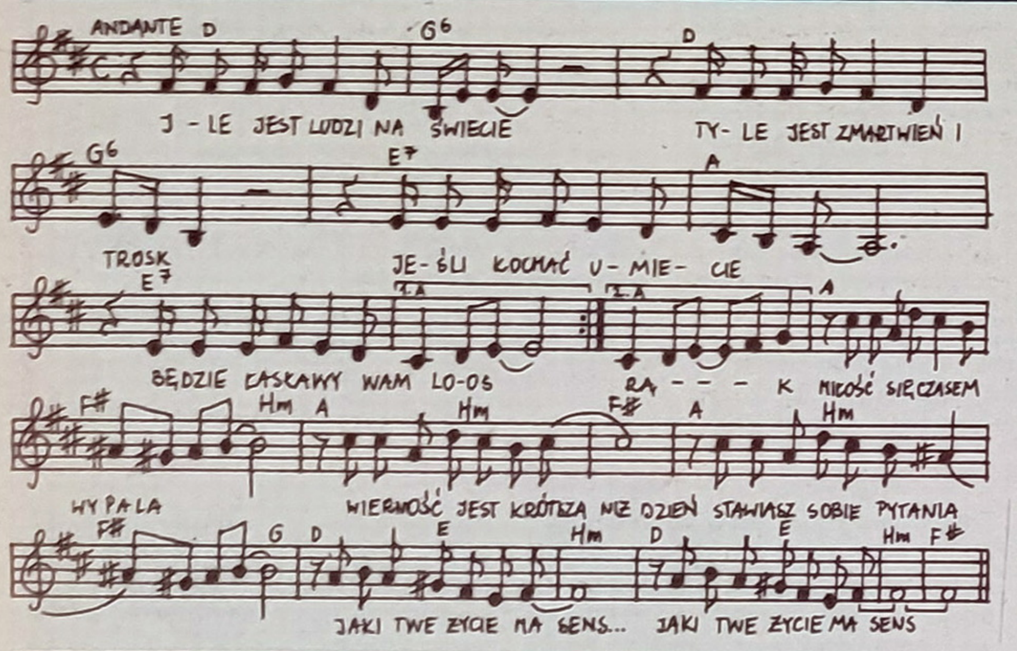

TYLE JEST KWIATÓW NA ZIEMI

Sł.: **Krzysztof Logan** Muz.: **Janusz Kępski**

Śpiewa: Lidia Stanisławska

Tyle jest kwiatów na ziemi,
dla mnie, dla ciebie wśród pól,
maki, chabry, kaczeńce,
zdobią dywany zbóż.
Tyle jest kwiatów na ziemi,
woń ich się niesie wśród łąk,
jastrząb porwał jaskółkę,
jej krzykiem znaczy swój lot.

Ile jest ludzi na świecie,
tyle jest zmartwień i trosk,
jeśli kochać umiecie,
będzie łaskawy wam los.

Młodość dojrzewa jak wino,
miłość się rodzi w twych snach,
życie jak obłok przepływa,
z wiatrem ściga się ptak.
Miłość się z czasem wypala,
wierność jest krótsza niż dzień,
stawiasz sobie pytania,
jaki to życie ma sens?

Lata swą mądrość nam niosą,
w żyłach nie kipi już krew,
wszystko wśród kwiatów przemija,
młodość, miłość i gniew.

Świat Muzyki

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

BARCLAY JAMES HARVEST

Przedstawiałem niedawno zespoły i solistów nagrywających dla EMI. W dzisiejszym i kilku najbliższych wydaniach Świata Muzyki zaprezentuję czołowe grupy i solistów firmy Polydor. Zacznę od BARCLAY JAMES HARVEST. Zespół założyli w roku 1966 John Lees i Wooly Wolstenholme z Blues Keepers oraz Les Holroyd i Mel Pritchard z Heart and Soul, którzy dwa lata później nagrywają już pierwszego singla dla EMI. W roku 1970 wydają pierwszy album „Barclay James Harvest" i wyruszają w tournée po Wielkiej Brytanii wraz z... orkiestrą symfoniczną pod batutą Roberta Godfreya. Była to jedna z pierwszych prób wykorzystania orkiestry w muzyce rockowej. Drugi album (Once Again) i trzeci lonplay „Other Short Stories" ukazują się w sprzedaży w roku 1971, album „Early Morning Onwards" i longplay „Baby James Harvest" w roku 1972. Zespół boryka się z kłopotami aranżacyjnymi, finansowymi i nagraniowymi. Nowa firma – Polydor i nowy menażer – Hervey Lisberg mają je rozwiązać. A zapowiedzią lepszego jutra jest album „Everyone Is Everybody Else" i dwa lonplaye. Grupa udaje się na wschodnie wybrzeże Stanów, gdzie nagrywa ósmy album „Time Honoured Ghosts". Kolejny album nosi tytuł „Octoberon" i zapowiada pełne sukcesów tournée. W roku 1977 wytwórnia EMI posiadająca wczesne nagrania Barclay James Harvest wydaje zbiorowy album „The Best of Barclay James Harvest", który staje się pierwowzorem nowego LP „Early Morning Onwards". W tym samym czasie zespół przesłuchuje już solowy album Johna Lees „A Major Fancy". Dziesiąty a więc jubileuszowy album opatrzony jest tytułem „Gone To Earth". Tournée po Wielkiej Brytanii i Europie zamyka rok 1977. We wrześniu 1978 roku gotów jest XII album oraz „Live Tapes" będący zapisem fonograficznym wspomnianego wyżej tournée. Czas przedstawić muzyków:

Od lewej: John Lees – gitara, śpiew, Mel Pritchard – perkusja, Les Holroyd – gitara basowa, Woolly Wolstenholme – organy, śpiew. Wszyscy urodzili się w Oldham, wszyscy mieszkają w Saddleworth.

ALIBABKI

Znalazłem ostatnio w kilku listach pytanie: co się dzieje z Alibabkami? Ano zespół nadal działa, koncertuje, nagrywa i choć szczyt popularności ma chyba za sobą, prezentuje solidne estradowe rzemiosło, które jakże często trudno dostrzec w produkcjach artystycznych innych tego typu zespołów. Warto przypomnieć, że Alibabki zanim trafiły na profesjonalną estradę, śpiewały w harcerskich mundurkach, że ich pierwsze piosenki do dziś stanowią ozdobę niejednego ogniska.

Fot. **Paweł Karpiński**

PO IV WARSZTATACH PIOSENKARSKICH W LUBLIŃCU

Ponad trzydziestu młodych wokalistów i instrumentalistów, laureatów ubiegłorocznych festiwali przyjechało do Lublińca na IV Warsztaty Piosenkarskie. Wiele się ostatnio mówi i pisze o potrzebie szkolenia młodych kadr dla polskiej estrady, która wkroczyła w wiek emerytalny i która powinna się odmłodzić. Gdzie szukać młodych, zdolnych amatorów – wiemy, jak przygotować ich do trudnego zawodu artysty estradowego – nie wiemy, lub wiedzieć nie chcemy. Oczywiście młodzi zadają i trudniejsze pytania, na przykład dziewczyna mówi: jestem zdolna, skończyłam szkołę muzyczną lub studio piosenkarskie przy estradzie – co dalej?

Warsztaty piosenkarskie to nie szkoła muzyczna i nie studio piosenkarskie. Bo przecież co można zrobić w ciągu dwóch tygodni z młodymi ludźmi, którzy choć zdolni nie znają najczęściej nut, nie wiedzą, jaka jest różnica między całą nutą a półnutą, akordem majorowym i minorowym. Najwybitniejsi pedagodzy nie są w stanie zrobić w tak krótkim terminie nawet ze zdolnego amatora profesjonalisty. Dlatego istnieje potrzeba powołania studium estradowego z prawdziwego zdarzenia, którego projekt podobno złożono w Ministerstwie Kultury i Sztuki dość dawno. Zanim jednak zostanie wcielony w życie porozmawiajmy o warsztatach...

KTO?

Powiedziałem już: laureaci Torunia, Kołobrzegu, Zielonej Góry i Opola, także innych przeglądów regionalnych i ogólnopolskich. Chcą śpiewać! Niektórzy chodzą do szkół muzycznych, inni zetknęli się z instrumentem w domach kultury i ogniskach muzycznych. Są i zupełnie początkujący, nie potrafią grać, nie znają nut. Wszyscy – to zabrzmi jak paradoks – najmniej znają swój głos, jego barwę, skalę. Bo głos to trudny instrument, jakże jednak po macoszemu traktowany w domach kultury, gdzie zajęcia z dykcji i emisji należą do rzadkości. Niemal połowa próbuje komponować i pisać teksty, bo prawdziwie młodzieżowego repertuaru jak na lekarstwo. Koleżeńscy, zdyscyplinowani, zajęcia rozpoczynały się o 9.00, kończyły przed 22.00, nikt się nie spóźniał, nikt nie opuszczał wcześniej sali.

PROGRAM

Przewidziano: dykcję, emisję, kształcenie słuchu, choreografię, próby z sekcją rytmiczną, ruch sceniczny, konsultacje repertuarowe. Z młodzieżą pracowali między innymi Janusz Kondratowicz, Waldemar Parzyński i Lech Terpiłowski, nad całością czuwał Józef Pielka. Najpierw trzeba było wszystkich oduczać, dopiero później uczyć. Zamknięte usta, ściśnięte gardło, śpiewanie „pod" znanych wykonawców – to grzechy podstawowe. Kiedy je zlikwidowano, przystępowano do nauki, nuta po nucie, motyw po motywie, fraza po frazie.

REPERTUAR

Zawsze go brakowało, na warsztatach także. Z pomocą przyszło radio – Naczelna Redakcja Programów dla Dzieci i Młodzieży, organizująca od lat siedmiu konkursy na piosenkę dla młodzieży. Właśnie kwalifikowano do drugiego etapu piosenki z ostatniego konkursu. Otrzymali je uczestnicy warsztatów wraz z piosenkami laureatkami trzech ostatnich konkursów. Przygotują je na warsztatach, a wykonają na inauguracyjnym koncercie Młodzieżowego Festiwalu Piosenki w Toruniu. Może wreszcie na brak młodzieżowych piosenek przestaniemy narzekać?

ROZMOWA PIERWSZA WYCHOWAWCZA...

– Jesteś człowiekiem trudnym do prowadzenia w sensie warsztatowym. Ponieważ natura obdarzyła cię ciekawym głosem, trochę za bardzo uwierzyłeś, że głos wystarczy...

– Jesteś niesłychanie przekorny. Przekora twoja nie wynika z kompleksów. Masz pełną świadomość siebie. To nie są kompleksy, natomiast ty masz jakąś dziecinną obsesję, że... każdy chce ci zrobić na złość. Miałem przyjaciela, nazywał się Stan Borys; jak wchodził do pokoju, to już był ze wszystkimi skłócony, choć jeszcze ust nie otworzył. Miał genialną zdolność zrażania sobie wszystkich. I chcę ci powiedzieć, że na estradzie to zaczęło tak wychodzić, że później był po prostu nielubiany. Miał głos, miał warunki, miał sylwetkę – miał wszystko, tylko nie miał jednej rzeczy – nie miał zaufania do ludzi. Ty nie umiesz być dla ludzi ciepły, serdeczny, ty może chcesz się zaprzyjaźnić, ale robisz to nie tak...

ROZMOWA DRUGA DYDAKTYCZNA...

– Pokazujecie mi swoje piosenki. Świadczy to o waszych wszechstronnych zainteresowaniach. Dysponujecie pewną wrażliwością, ciekawą wyobraźnią, natomiast macie kłopoty z warsztatem, bo warsztatu uczy się przez lata całe. W paru wypadkach natknąłem się jednak na teksty autorów, którzy mają już pojęcie o warsztacie literackim. Najczęściej piszecie utwory o waszych własnych sprawach – jest to filozofia dnia codziennego, jakiś obraz codzienności. Próbujecie też filozofować; akcja nie jest osadzona w realiach, macie pretensję do kreowania jakiegoś nowego świata. Wydaje mi się, że te utwory na ogół bywają chybione. Jakie błędy warsztatowe spotykam najczęściej w waszych piosenkach? Nie znacie prawideł językowych, a najwięcej kłopotu sprawia wam prozodia. Autor tekstu musi umieć pogodzić tekst z muzyką, musi bardzo dobrze operować sylabotoniką. Pamiętajcie o cezurze, metaforyce i miejcie szacunek dla języka polskiego. Będę zwalczał teksty sloganowe, żargonowe. Jestem zwolennikiem języka potocznego – wyrazistego, plastycznego. Bogactwo tego języka, nawet przy jego prostocie, to jest to, co powinni przyswoić sobie młodzi autorzy. Kiedyś, lat temu wiele, Julian Tuwim napisał wiersz, który dla mnie jest wzorem rozumienia przez poetę psychiki młodego człowieka i sytuacji, w jakiej ten młody człowiek się znajduje. Oto ten wiersz:

Mimozami jesień się zaczyna,
Złotawa, krucha i miła
To ty – to ty jesteś ta dziewczyna,
Która do mnie na ulicę wychodziła.

Od twoich listów pachniało w sieni
Gdym wracał zdyszany ze szkoły,
A po ulicach w letniej jesieni
Fruwały za mną jasne anioły.

Mimozami zwiędłość przypomina
Nieśmiertelnik żółty – październik.
To ty – to ty moja jedyna,
Przychodziłaś wieczorem do cukierni.

Z przemodlenia – z przeomdlenia senny,
W parku płakałem szeptanymi słowy,
Młodzik z chmurek prześwitywał jesienny,
Od mimozy złotej – majowy.

Ach, czułymi, przeniłymi snami
Zasypiałem z nimi gasnącym o poranku,
W snach dawnymi bawiąc się wiosnami,
Jak tą złotą, jak tą wonną wiązanką...

WARSZAWSKI KLUB GO FSZMP

ODPOWIEDZI NA LISTY

„Nie pozwólcie umysłom gnuśnieć, grajcie w GO"
Konfucjusz

Nasza rubryka spotkała się z bardzo dużym zainteresowaniem. Dostajemy od Was wiele listów. Serdecznie Wam za nie dziękujemy.

W większości z nich prosicie o przysłanie przepisów gry. Wszystkie te życzenia realizujemy na bieżąco. Ci z Was, którzy nie otrzymali jeszcze reguł, prosimy o wyrozumiałość i cierpliwość. Być może list jest już w drodze.

Pojawiają się też liczne pytania. Postaramy się teraz odpowiedzieć na niektóre z nich.

Dociekliwi pragną wiedzieć, co określa znak, który znajduje się w winietce każdego naszego artykułu. Otóż oznacza on po japońsku GO.

Powtarzają się często pytania, jak zrobić własny komplet do gry. Przypominamy, że tej sprawie poświęciliśmy już cały odcinek. Zainteresowanych odsyłamy do nr. 139 „Świata Młodych" z dnia 28 listopada 1978 r.

Otrzymaliśmy parę listów, w których pytacie o kluby GO w Polsce. W jednym z poprzednich numerów „ŚM" podaliśmy adresy wszystkich znanych nam klubów. Jest ich – jak dotąd – niewiele. Dlatego też bardzo zachęcamy do tworzenia nowych. Ich adresy wraz z terminami spotkań wydrukujemy na naszych łamach, natychmiast po otrzymaniu od Was informacji.

Chcielibyśmy sprostować dużą gafę, którą popełniliśmy w odcinku o turniejach zawodowców. Nagroda dla zwycięzcy turnieju o tytuł Kisei wynosi **100 000 dolarów** a nie, jak podaliśmy – jenów. Na koniec ostatnie pytanie, które mogłoby się wydawać niemądre, niemniej uważamy je za inteligentne. Brzmi ono mniej więcej tak:

„W waszych artykułach piszecie, że GO polega na otaczaniu obszarów, a tymczasem na jednym z zamieszczonych zdjęć gracze rozstawiają swoje piony po całej planszy w dużych odległościach od siebie. Dlaczego?"

W początkowej fazie gry piony stawia się tak, by zdobyć obszar, a jednocześnie stworzyć sobie jak najlepszą pozycję do zdobycia, większej ilości punktów w toku dalszej rozgrywki. Liczy się też nie tylko samo otaczanie punktów, lecz także jego efektywność tzn. liczba pionów potrzebna do okrążenia danego terytorium. Jeżeli będziemy stawiali piony zbyt blisko siebie, to nie będzie to efektywne.

Oczywiście uwagi te nie mogą być traktowane jako pełna odpowiedź na postawione pytanie. Lecz o tym, jak stawiać piony na początku gry napiszemy już wkrótce.

Jerzy Sacharewicz

Zdjęcie przedstawia słup, który informuje o działalności znajdującego się w pobliżu klubu GO.

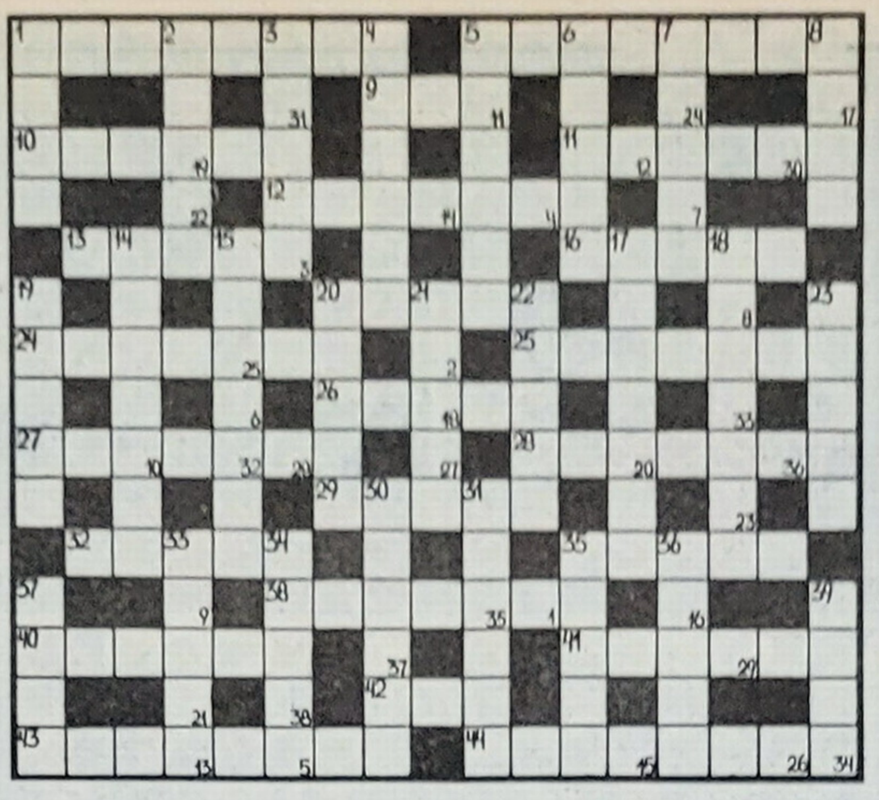

Zadanie premiowane nr 222

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Po rozwiązaniu krzyżówki wypisz litery z kratek ponumerowanych (od 1 do 38) w prawym dolnym rogu i odczytaj rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 222".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

POZIOMO: 1) pojemnik, rezerwuar; 5) wstrzymał Słońce, a poruszył Ziemię; 9) żądłówka; 19) nosi go turysta; 11) koło roweru po kraksie; 12) służy do odtwarzania płyt; 13) szloch; 16) załoga łodzi wioślarskiej; 20) popis, rewia; 24) szklane naczyńko zawierające lek; 25) poprzedza noc; 26) szaruga; 27) stąd wyskoczył Filip; 28) rysunek krzyżówki; 29) izba szkolna; 32) koc; 35) trasa; 38) motylek z wstążki; 40) głośny płacz; 41) w alfabecie; 42) imię Brzechwy; 43) znajduje się za tęczówką oka; 44) sposób turystyki letniej.

PIONOWO: 1) na pierwsze danie; 2) drzewo liściaste; 3) polecenie; 4) z rzepką; 5) część zeszytu; 6) wieczne służy do pisania; 7) warzywo–symbol zdrowia; 8) siarkowy lub solny; 14) chwytanie; 15) chodzi z dziewczyną; 17) jeden z przednich zębów; 18) stróż; 19) ramię ośmiornicy; 20) podtrzymuje spodnie; 21) matka cielęcia; 22) sprzeczka; 23) wrota; 30) od dzwonka do dzwonka; 31) w herbie Warszawy; 33) przedmiot; 34) najbardziej czynni członkowie organizacji; 35) powitanie armatnie; 36) kwiat czczony przez starożytnych Egipcjan; 37) +; 39) ryba hodowana w stawach.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 218 Z 11–12 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 25–27.01.1979 R.

Prawidłowe rozwiązanie. Prawoskrętnie: przodek, zarazek, nalewka, konanie, polanka, nagroda, zagadki, wyprawa, grządka. Lewoskrętnie: prządka, zarodek, Nalazek, konewka, Polanie, naganka, zagroda, wypadki, zaprawa, grzałka.

Nagrody wylosowali: Anna Dzik – Łódź; Marek Jakubowski – Pionki; Lidia Lupa – Bojanowo; Danuta Malicka – Ruda Śl.; Małgorzata Marciniak – Olszówka; Paweł Mysiński – Nowy Sącz; Marcin Ostrowski – Białystok; Paweł Popowicz – Kamienna Góra; Franciszek Stryjakiewicz – Kępno; Iwona Wróblewska – Poznań.

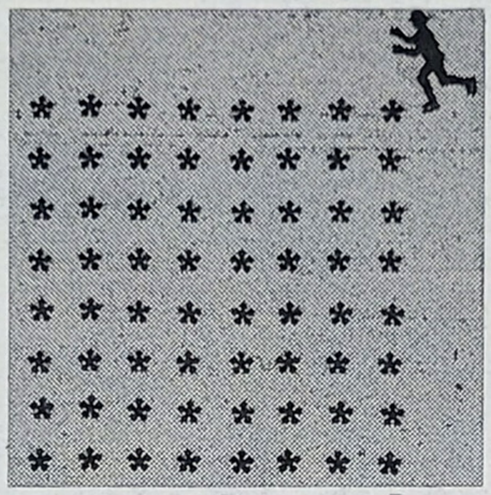

GWIAZDY NA ŚLIZGAWCE

Ten szary obszar – to lodowisko. W lód wtopiono 64 czarne gwiazdki. Łyżwiarz, który rozpoczyna jazdę w prawym górnym rogu, musi przejechać przez wszystkie gwiazdki (przez niektóre przejedzie nawet więcej niż jeden raz) i powrócić na miejsce startu. Jeden warunek: musi przy tym pojechać dokładnie po 14 liniach prostych. Zmiany kierunku jazdy nie muszą się zawsze odbywać pod kątem prostym, natomiast zawsze muszą następować na gwiazdkach (z jednym tylko wyjątkiem!)

LABIRYNT PANA BALLA

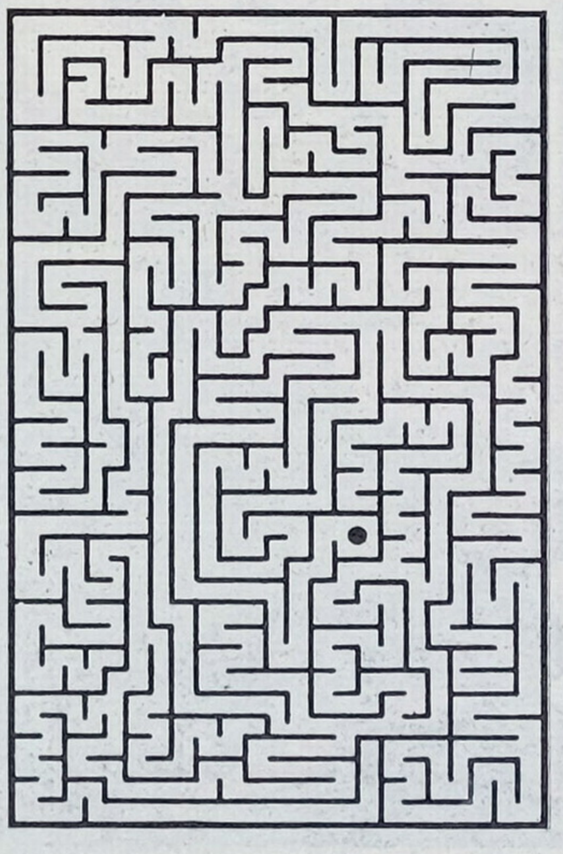

Wybitny matematyk W.W. Rouse Ball wyrysował kiedyś w swoim ogrodzie labirynt, którego dokładną kopię przedstawiam na rysunku. „Metą" tego labiryntu jest czarny punkt, leżący w jego wnętrzu. Wejście do labiryntu – w prawym górnym rogu. Na pokonanie drogi do mety przeznaczam Ci trzy minuty, wolno się pomylić tylko dwa razy. W drogę!

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY

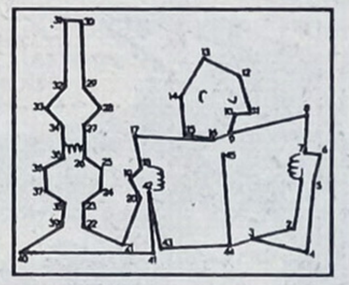

DWIE ŚRUBY: głowy śrub ani nie zaczną zbliżać się do siebie, ani nie zaczną oddalać; sytuacja przypomina człowieka, który schodząc z ruchomych schodów idących w górę (o ile dostosuje swą szybkość do ruchu schodów), jakby „stoi w miejscu".

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dzisiejszy odcinek Abrakadabry zmusza bardziej do logicznego wnioskowania, niż do samego liczenia. Jako dobrą aktualność polecam wszystkim „gwiazdy na ślizgawce". Dla najmłodszych zaś jest łamigłówka z siedmioma psami.

Ostatnio otrzymałem kilka listów z prośbą o zamieszczanie odpowiedzi w tym samym numerze. Odpowiadam: już tak kiedyś było w Abrakadabrze, ale wtedy cała zabawa traciła sens i przestawała być ciekawą gimnastyką umysłową. Poza tym – jest więcej czasu na rozwiązywanie zadań i mniej pokus pójścia na łatwiznę.

A więc – do zobaczenia za tydzień. Będą wtedy również rozwiązania dzisiejszych zadań.

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

SIEDEM PSÓW DLA MŁODSZYCH

Ta łamigłówka z siedmioma psami jest przeznaczona przede wszystkim dla naszych młodszych Czytelników, ale i starszych namawiam do jej rozwiązania. Chodzi o to, by używając tylko trzech linii prostych tak podzielić nimi psy na rysunku, by każdy znalazł się w oddzielnej przegródce. Za tydzień zamieszczę, oczywiście, prawidłową odpowiedź w Abrakadabrze, ale jestem przekonany, że do tego czasu każdy „śpiewająco" rozwiąże to zadanie.

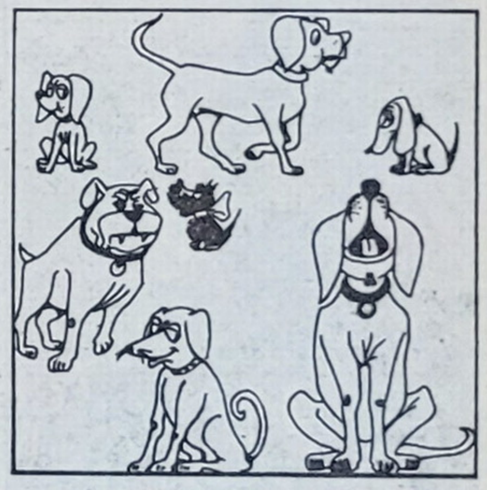

znów próbować szczęścia. Nikt jednak nie przeżywał swego niepowodzenia tak boleśnie. Wrócić do domu, przyznać się do porażki po wszystkich rozmowach o swoim powołaniu – nie, to było ponad jej siły. O pracy w jakimś przedsiębiorstwie, zamieszkaniu w hotelu robotniczym i nauce na kursach przygotowawczych nie chciała nawet myśleć.

I w takiej właśnie chwili na nadbrzeżnym bulwarze zjawił się Peter. Teraz jeszcze ogarniał ją śmiech na samo wspomnienie tego, jak starał się jej wyperswadować samobójstwo. Ofiarowywał swoją pomoc i rycerską obronę, obiecywał złote góry, żądając w zamian tylko pełnego zaufania... Trzeba mu oddać sprawiedliwość – pierwsze dni upłynęły im jak w bajce: smaczne jedzenie w drogich restauracjach, nowe toalety, szampan w barach Jurmali. W nocy było znacznie gorzej, ale Peter spostrzegłszy, że jest dziewczynie obojętny przestał domagać się względów, czym zaskarbił sobie jej głęboką wdzięczność. Nie trzeba było nawet prosić jej o drobne przysługi; Ingrida sama zorientowała się, na czym opiera się dobrobyt wesołej paczki i ochoczo zgodziła się im pomagać. Wkrótce została pełnoprawnym członkiem bandy, chociaż przez cały czas uważała, że ani razu i nigdzie nie przekroczyła granicy prawa.

W kawiarni na dachu nadmorskiej restauracji „Juras perle" o tej porze dnia było pełno. Ludzie przychodzili w kostiumach kąpielowych prosto z plaży, ale byli również goście całkowicie ubrani, zwłaszcza ci, którzy „wzmacniali się" po leczniczym spacerze na wydmach. Albert nie zastał Ingridy i poczuł się nieswojo. Trzeba było jednak wyciągnąć forsę od matki na zeszyty, długopis i ołówki, choć... nie miał zamiaru przesiadywać z dziewczyną nad filiżanką kawy i obgadywać sąsiadów, przy stolikach. Jak tylko przyjdzie, pójdą nad rzekę...

Obok zwolnił się stolik. Albert nie zdążył się jeszcze usadowić i rozejrzeć dokoła, kiedy podeszła kelnerka.

– Słucham?

Albert wywrócił puste kieszenie spodni.

– Szklanka wody i jedna łyżeczka do herbaty jak zwykle? – uśmiechnęła się wyrozumiale jasnowłosa dziewczyna w koronkowym czepku.

– Dziś dwie szklaneczki i łyżeczki – uroczyście oznajmił Albert i dodał konfidencjonalnie: – Chcę poczęstować damę. – Po czym położył na stoliku podręcznik historii.

– Słusznie! – przyznała nie bez zazdrości kelnerka. – Lepiej zaspokajać pragnienie duchowe.

Wkrótce wróciła z karafką i szklanką. Ale Albertowi nie udało się otworzyć książki; bo do stolika podszedł wczorajszy towarzysz Ingridy i zapytał tonem starego znajomego:

– Można? – nie czekając na odpowiedź usiadł i przywołał kelnerkę. – Panienko, jeszcze jedno szkiełko proszę! Z ciebie, chłopie, brzytwa! Może dla przyzwoitości poprosić o kilka cukierków czekoladowych?

Albert, który zdążył schować podręcznik, nie odezwał się. Nie wiedział, czy Peter go poznał, czy przysiadł się dla towarzystwa. Chociaż drażnił go sposób mówienia natręta, chłopiec postanowił uzbroić się w cierpliwość – może uda mu się dowiedzieć czegoś o Ingridzie.

Kelnerka przyniosła szklankę i spojrzała z ukosa na Petera.

– Wdzięczny do grobowej deski! Rachunek proszę przesłać pocztą! – podsunął swoją szklankę Albertowi. – Nie bądź skąpy, nalej mi także.

– Tylko niech pan wie – uprzedził Albert. – To czysta...

– Ho, ho. Apteczny? – Peter stuknął się z nim i wypił. Zakrztusił się i od razu spoważniał. – W każdym razie jutro nie trzeba będzie zalewać kaca. No dobrze, dokonaliśmy degustacji twojego środka przeciw śmierci, teraz na mnie kolej. Jestem ci jeszcze dłużny za wczorajsze i w ogóle... przyjaciele Ingi są moimi przyjaciółmi – skinął na kelnerkę. – Panienko, prosimy pożyczyć od galaktyki jakieś pięć gwiazdek. Ma się to życzenie; pobyć w stanie nieważkości! – spostrzegłszy niezadowolenie Alberta Peter uspokoił go. – Nie martw się, to dobre na piersi, suchot przynajmniej nie dostaniesz.

Albert zaczął żałować, że dał się wciągnąć w tę rozmowę, ale raczej odgryzłby sobie język, niż odmówił wypicia koniaku. – Chwała Bogu, tym razem kelnerka nie zdradzała pośpiechu. W jej nieprzyjaznym stosunku do Petera wyczuwało się coś osobistego.

Chłopak w to nie wnikał, teraz już na dobre zaczął się denerwować. Jego spojrzenie, coraz bardziej niespokojne, wypatrywało Ingridy. Nie umawiali się wprawdzie na określoną godzinę, ale dziewczyna przecież powinna wyczuć, że na nią czeka.

Cdn.

KUBUŚ i jego rodzinka

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL 12

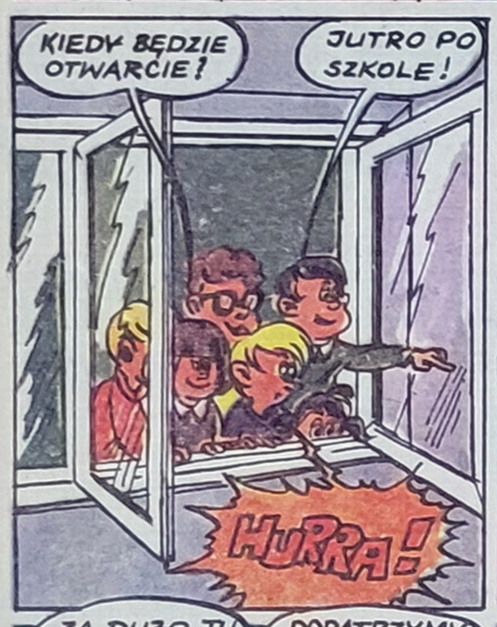

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

Zam. 816/G **G-404**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

GUNARS CIRULIS
TŁUM Z ROSYJSKIEGO HENRYKA BRONIATOWSKA

NIE WIERZGIE W BOGIANY 13

Nie musiał jednak nawet przymykać oczu, żeby przywołać obraz Ingridy – jej szczuplutką, gibką figurkę, krótką grzywkę, spod której spoglądały ciemne, promieniejące ciepły blaskiem oczy, usłyszeć jej odrobinę zachrypnięty głos nadający nawet najzwyklejszym słowom jakiś wieloznaczny i tajemniczy podtekst. Nie mógł tylko przypomnieć sobie jej śmiechu... Istotnie, przez cały wieczór dziewczyna nie roześmiała się ani razu. Pewnie dlatego, że w jej życiu mało było powodów do radości. Nie bez przyczyny chyba ukrywała się w pustych willach, gdzie nawet światła nie można zapalić. A co robiła teraz – była w pracy czy kręciła się gdzieś dla zabicia czasu? Albert nie miał najmniejszej wątpliwości, że Ingrida czeka, że nie może się doczekać chwili spotkania z nim.

– Ej, młody człowieku, dość tego myszkowania po cudzym ogrodzie! – rozległ się gburowaty okrzyk. – Wynoś się stąd, a żywo! Bo zaraz wezwę milicję!

Albert zaskoczony drgnął, po czym odwrócił się, wyjął z kieszeni opaskę przyjaciela milicji i wciągnął na rękaw. Wyszedł z cienia i chełpliwie oznajmił sąsiadowi:

– Czy nie widzi pan, że sam jestem stamtąd? Nasza drużyna podjęła się opieki nad willami w tym rejonie.

– Wobec tego nie należało spać do tej pory – zrzędził sąsiad. Oparł łopatę o płot i odezwał się już przyjaźniej:

– Kiedy dziś rano sprawdzałem, gniazdko było jeszcze ciepłe, ale ptaszki już wyfrunęły... Nie szkodzi, ja ich jeszcze złapię, choćbym całą noc nie dał żonie spać; przyłapię i nauczę moresu!

– Teraz możecie spać spokojnie – stopniowo wchodził w nową rolę Albert. – Zorganizujemy tutaj nasz sztab.

Ta perspektywa nie wzbudziła zachwytu w sąsiedzie.

– Uważajcie, żebyście nie spalili rudery. Przy takiej suszy jedna zapałka wystarczy i cała okolica pójdzie z dymem.

Ingrida z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Ten Bert wcale nie jest taki naiwny, jak się to z początku wydawało. Chłopak jak się patrzy. Pożałowała nawet, że nie wpuściła go od razu – lękała się nudnych wyznań, nie wiedziała, czy warto kontynuować tę znajomość. Wprawdzie adoratorów z własnymi „Wołgami" nie spotyka się na każdym kroku, ale czy opłaca się narażać na niezliczone komplikacje, jeśli człowiek zwiąże się z żółtodziobem? Taki młokos nie ma forsy na restaurację, nie ma mieszkania, gdzie można by się zamelinować do wiosny. Plany Ingridy dalej nie sięgały. Później się zobaczy. Przede wszystkim musi się pozbyć opieki Petera i zdobyć prawdziwy dach nad głową. Nie będzie przecież marznąć w tej nędznej ruderze, dokąd w każdej chwili może wpaść ten nikczemny staruch – i znów będzie musiała chować się przed nim na dachu. Niech diabli wezmą wszystkie przelotne, przypadkowe znajomości, które ani sercu, ani kieszeni nie przynoszą żadnego pożytku.

Ingrida uśmiechnęła się gorzko. Nie minęło nawet dwa miesiące i już zaczęła patrzeć na świat tak samo jak matka, zastanawiać się jeśli jeszcze nie nad starością, to w każdym razie nad dniem jutrzejszym... A przecież zaklinała się, że nigdy tego nie zrobi. Dlatego przecież zerwała z dawnym życiem, żeby w pełni nacieszyć się swobodą, bez oglądania się wstecz i wybiegania w przyszłość. Albert jej się podobał. Po cóż ma się zastanawiać? Szkoda, że nie spotkała go wcześniej!

Kiedy oblała egzaminy wstępne, kiedy rozwiały się jej marzenia. Ingrida znów zobaczyła siebie na brzegu Dzwiny – trudno opisać, jak bardzo czuła się wtedy nieszczęśliwa, jak bardzo samotna. Nie była jedyna, wielu innych, którym także nie udało się dostać na uniwersytet, postanawiało urządzić się jakoś w Rydze i w następnym roku

Dokończenie na str. 7